

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

5454

D

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

5454 | D

KSIĘGA TUŁACZY

TOM II



1000173146

CZĘŚĆ DRUGA

I. Dyktatura proletariatu.

21 marca, 1919.

Padał deszcz. Woda sączyła się przez pękniętą rynnę. Krople spadały na blachę parapetu u mego okna. Było to jakby pukanie kościotrupów, proszących o pozwolenie wejścia.

Rozległ się dzwonek w przedpokoju. Przyszła pani Rudolfowa Chotek, odważny i dzielny obrońca idei narodowej. Przynosiła dosyć znaczną sumę dla „Związku Kobiet węgierskich“. Wkrótce potem nadeszła hrabina Armanda Mikes. Nie było jeszcze dziewiątej. Szepnęła mi do ucha:

— Mam bardzo złe wiadomości, muszę mówić z tobą.

Wzięłam ze sobą pieniądze i wyszłyśmy. W powozie opowiedziała mi, iż zaufana osoba była wczoraj na zebraniu komunistycznym. Znaczne grupy robotników, mianowicie metalowcy przyłączyli się do partji. Postanowili obalić rząd i zniszczyć „kontrrewolucję“.

W biurze „kobiet węgierskich” znajdowała się już Elżbieta Kallay, wkrótce weszła pośpiesznie hrabina Ludwikowa Batthyani i skinęła na mnie. Usunęłyśmy się na stronę.

Wówczas dopiero dostrzegłam zmianę w jej twarzy i bladość śmiertelną. Mówiła nerwowo:

— Rząd abdykuje. Pułkownik Vix, szef francuskiej komisji wojennej przysłany do Budapesztu po Belgradzkim zawieszeniu broni, przysłał ultimatum. Ententa przesunie naprzód linię demarkacyjną i zażąda strefy neutralnej. Co do Karolyi'ego, wiem to z dobrego źródła,— zamierza on oddać władzę komunistom.

Oto więc zemsta Karolyi'ego.

Zbliżyły się do nas na chwilę Elżbieta Kallay z młodszą swą siostrą. Chciały uprzedzić arcyksięcia Józefa i prosić Stefana Bethlena o wszelkie możliwe starania u przedstawicieli Ententy. Od kilku dni usunął pułkownik Vix oddziały swoje z miasta. W okolicach znajdowało się zaledwie 300 spahiów. Wiedział on co się przygotowuje. Czy umyślnie pozbawił jedynej opieki burżujów Budapesztu?

Pani Bathyani podniosła się z miejsca, lecz przed odejściem, szepnęła mi, bym uciekała w nocy, imię moje bowiem było na pierwszej liście osób, które miano aresztować. Wróciłam. Deszcz bił w moje szyby. Wezwałam brata telefonicznie. Matka moja słaba, leżąca nie wiedziała o niczem, mówiłam cicho, by słyszeć nie mogła.

Miałam wizytę pani Władysławowej Bano, radziła mi wyjechać, inaczej „ludzie ci” powie-

szą mię. Wróciła pani Rudolfowa Chotek. Zwróciłam jej przyniesione przez nią pieniądze.

— Nie będą już u mnie bezpieczne.

Ponowiła ona radę pani Bano.

— Nie wyjadę, odrzekłam, byłoby to podłością. Jeśli chcą mię aresztować, niech aresztują, pozostanę tutaj.

— Potrzebną jeszcze będziesz, później, gdy znowu można będzie pracować, — rzekła moja przyjaciółka.

Łagodnie starała się mnie przekonać.

Było około siódmej, gdy przyszedł Józef Cavailler, młody dziennikarz, pracujący z wielką bezinteresownością dla „Narodowego Związku Kobiet”, był on blady, jak śmierć. Zamknął gwałtownie drzwi za sobą, jakby się obawiał pogoni. Wzrok miał osłupiały i szklany.

— Karolyi abdykował, — rzekł głosem niepewnym... — Podczas rady ministrów delegował on Kuniego po Belę Kuna, Kunfi przywiózł Belę Kuna samochodem do pałacu Prezydentury. Socjaliści połączyli się z komunistami. Tworzy się Dyrektorjat, którego członkami są, jak się zdaje, Bela Kun, Tyberjusz Szamuely, Zygmunt Kunfi, Józef Pogany i Bela Vago. Ustanowić mają trybunał rewolucyjny i aresztować tej nocy wiele osób. Niech pani ucieka. Proszę się nie narażać na ich zemstę.

Gdy to mówił, wybuchła na ulicy strzelanina i ujrzałam nagle obraz tego, co się stać miało tej nocy. Znajdowaliśmy się w domu wrogim, za jedynymi zamkniętymi drzwiami. A dzwonek dzwonił, drzwi się otworzyły...

Straszny głos ryczał na dole: Niech żyje
dyktatura proletariatu!

noc, 21 marca.

Przez chwilę panowała cisza — cisza straszna, jak w chwili, gdy w gilotynie zatrzymuje się wiszący nóż nad skrępowanym człowiekiem, który może tylko wtulić głowę w ramiona. Zimny deszcz, jak pot konania spływał po twarzach domów. Teraz...

Nazewnątrz głos ryknął znowu: Niech żyje
dyktatura proletariatu!

Już krzyk się powtarza w sąsiednich ulicach. Żelazna krata pociągnięta gwałtownie zaskrzypiała w ciemnościach. Zazgrzytały drzwi zamykane pośpiesznie. Szybkie kroki rozległy się wśród murów, a przed nimi z hałasem toczyły się słowa:

„Niech żyje!” śmierć...

Na rogu ulicy strzelano...

„Śmierć burżujom!...”

Kula trafiła w latarnię gazową, szkło rozprysło się po chodniku. Jakiś powóz przejechał szybko. Zatrzymano go. Potem strzelanina oddaliła się ku ulicy Rakoczego. Myśli nasze biegły za nią po mieście przerażeniem i mrocznym. Co się dzieje tam i gdzieindziej? W koszarach, na bulwarach. W centrum Pesztu marynarze grabią. Przedmieścia burzą się. Garstka bolszewików zawładnęła miastem. Dokąd się udać. Zdawało mi się, że słyszę bicie serc ludzkich, miljarde drobnych uderzeń przenikających ci-
szę.

Ścieki kloaki pękły i zalewają nas. Dzięki Michałowi Karolyi'emu, towarzysz jego, agent Trockiego, oszust z kas robotniczych, Bela Kun, panuje nad Węgry św. Stefana.

Matka przysłała po mnie. Z ściśniętem sercem otworzyłam drzwi jej pokoju. Siedziała w łóżku, podparta poduszkami, z twarzą bledszą niż zwykle i jakby drobniejszą. Słyszała była również ryki. Wiedziała co się stało i co się stać miało. Spojrzenie jej bolesne, przygnębione obudziło we mnie szczególnie silne poczucie naszego losu.

Biedna matka. Gdym jej opowiedziała o propozycji Józefa Cavailler ukrycia się w jego mieszkaniu, potrząsnęła głową:

— Czy mieszka w Budzie? Nie idź tak daleko... Deszcz pada, a tyś kaszlała w nocy.

Inne osoby weszły do pokoju. Każdy dawał rady. Moja młoda bratowa mówiła o szwagrze swym, Zsigmondym, który nie mieszkał daleko i sam zaprasza do siebie. Matka milczała. Nie mogła wyrzec słowa: „Odejdź”, lecz cała jej istota nawoływała mnie do odejścia. Przeciągle i smutne jej spojrzenie wzięło górę nad moim wahaniem.

— Po jednym, dwu dniach nieobecności, nie będą mię już szukali tutaj, będę mogła wrócić.

Czy byłam szczerą? Patrzyłam na dziwny cień, który niewiadomo skąd spłynął na twarz mojej matki. Na wszystkich twarzach dokoła leżał takiż cień, jakgdyby wszystkie nagle się zestarzały. Od kilku chwil wszędzie po całym mieście, ludzie zmieniali się tak jak my.

Przyjaciele odeszli. Wróciłam do swego po-

koju. Czułam konieczność pośpiechu, a jednak stałam beczynnie przed otwartą szafą. Ile osób tak się waha! Ile ucieka w przerażeniu... Czy u nas będzie to co w Rosji? Matka moja weszła pocichu. Chciała być ze mną i dopomóc mi.

— Zabieram bardzo niewiele bielizny,—mówiłam, bardzo mało... jakby chcąc zmusić Los, by mię nie zatrzymywał zdala zbyt długo.

— Może jutro wrócę...

Matka nie odpowiedziała. Zawiązywała moją paczkę.

— Nie trzeba, by ochmistrzyni wiedziała o twym wyjeździe przed jutrzejszym rankiem.

Zajrzała do przedpokoju, jakby dla przekonania się, czy jest pusty, potem otworzyła drzwi sama i towarzyszyła mi na korytarz. Dom zdawał się uśpiony. Niebo było czarne, a podwórze ciemne jak studnia.

Wsparta na mem ramieniu matka moja szła w milczeniu. Podniosła rękę. Czułam, że ruch jej zakreślał w ciemnościach kształt mej twarzy, takiej jak ją widziałam, piękniejszej, czulszej niż zwykłe moje oblicze.

— Dbaj o siebie.

Schodziłam pośpiesznie po schodach. Ona stała na górze, pochylona nad poręczą, jakby chcąc jeszcze przez chwilę towarzyszyć mi swoją miłością.

— Dobranoc — rzekła pocichu, wśród tej okropnej nocy.

Potykając się przeszłam ciemne podwórze i zapukałam do okna odźwiernego, by mi otworzył. Człowiek ten popatrzał na mnie dziwnie w świetle swej lampy.

— Na ulicach straszna strzelanina, — wyrzekł. — Lepiejby pani pozostała w domu.

Klucz zazgrzytał w zamku. Drzwi zamknęły się za mną ostrożnie. Przeszedł mię nieznaną dreszcz. Nie mogłam już wrócić. Byłam sama, bezdomna, na deszczu. Zdaleka słyhać było wycie i gwizdki samochodów. Z pękniętych rynien wylewały się potoki wody. Ulica była pusta... Wtem, na przeciwległym chodniku, kroki... ktoś wyszedł z domu naprzeciwko i czekał. Cień ten wysunął się z wgłębienia bramy i zastąpił mi drogę. Popatrzyliśmy na siebie bawczo.

— To ty!

Był to brat mój, Bela. Oczekiwał na mnie, by mię odprowadzić. Na bulwarach światła paliły się zrzadka. Dokoła stłuczonych latarni brzęczały pod nogami kawałki szkła. W kałużach leżały kapiszony naboje. Na drodze gwizdały samochody. Przeszła grupa ludzi wznosząc czerwony sztandar. Najeżony bagnetami samochód ciężarowy unosił marynarzy. Jeden z nich celował do nas. Z ciemności nocnej wynurzyła się chwilowo w świetle latarni jego postać, ujrzałam zwierzęcą żydowską twarz w dziwacznym skrzywieniu. Nie strzelił. Śmiał się tylko. Zniknął, lecz jeszcze słyszałam głos jego wykrzykujący po rosyjsku:

— Precz z burżujami!

Okrzyk moskiewski rozległ się swobodnie po mieście madjarskim. Przerażone kobiety przechodziły wpoprzek ulicy przed nami. Powietrze pełne było szalonych ucieczek i dzikich hałasów.

Zadzwoiłam do jednej z bram. Brat mój, Bela, odszedł. Zwlekano z otwieraniem. Nadeszła jakaś kobieta włócząc nogami, nieufna:

— Do kogo pani idzie?

Mruknęłam coś nieokreślonego i wcisnęłam jej w rękę pieniądze. Tutaj też podwórce było czarne. Zadzwoiłam do drzwi jednego z mieszkań. Paliło się tam przyjazne światło na nakrytym stole. Co za spokój tego mieszkanka po mokrej, wyjącej ulicy! Michał Zsigmondy z żoną przyjęli mię. Czy mię oczekiwali? Nie wiem, lecz przyście moje wydało im się naturalnem.

— Która godzina?

— Po jedenastej.

Ktoś zapukał. Popatrzyliśmy na siebie. Wszedł młody brunet.

— To hrabia Franciszek Hunyady, — rzekł uspokojony Zsigmondy.

Nie zaprezentował mię i nie wypowiedział mego nazwiska.

— Nikt nie wie, co się stanie, — rzekł nowoprzybyły. Komuniści obiecują pozwolić młóchowi na rabunek.

Pomyślałam o matce mojej, która myślała o mnie... poza nią widniały postacie dalsze, bledsze: moi bracia, przyjaciele. Drżałam za wszystkich, których kochałam. Zsigmondy wziął do ręki tubę telefonu. Centrala odpowiedziała: „Łączymy tylko dla rozmów oficjalnych”. Potem odpowiadać przestała. Była już w rękach komunistów. Deszcz przestał. Ulice ożywiły się. Krzyk podniecenia krwawego rozlegał się z głębi:

Niech żyje dyktatura proletariatu!

Przeniesiono dzieci Zsigmondych do sąsiedniego pokoju, mnie zaś przygotowano posłanie w ich białym pokoiku.

Na ścianach kolorowe obrazki, na posadzce wycinani żołnierze i konie drewniane... Gdybym dożyła nawet bardzo późnej starości, nigdy się nie będę czuła starszą, jak tamtej nocy, w owym pokoiku dzieciennym.

II. Dymisja Karoly'ego.

Świt patrzył na mnie swem zmrużeniem okiem. To był ich ranek.

Ulica zdała się martwa. Wydychała o świcie nocne swe orgje. Minęła godzina, gdy na dworze rozległy się kroki wśród ciszy. Jakiś garbusek, prawdziwy potwór ludzki, szedł, kiwając się, od strony bulwarów. Niósł wiadro w rękę, pod pachą zaś — pakiet papierów. Zatrzymywał się co pewien czas, zasmarowywał pośpiesznie kawał muru, gdy odchodził, zostawiał za sobą za każdym razem czerwone, duże plakaty.

Nieh żyje dyktatura proletariatu!

Odwróciłam się od okna. Na stole leżał dziennik poranny... Na pierwszej stronicy odezwa Karoly'ego: „Do narodu węgierskiego!”

„Rząd abdykował. Ci, którzy rządzą dotąd z woli narodu i przy poparciu proletariatu węgierskiego, zrozumieli, że siła rzeczy wymaga nowej orientacji. Porządek i bezpieczeństwo zapewnione być mogą

tylko, jeżeli proletarjat weźmie władzę w ręce.

Z groźną anarchją produkcji łączy się powaga naszej wewnętrznej sytuacji politycznej. Konferencja Paryska tajnie postanowiła zająć wojskiem prawie całe terytorjum Węgier. Misja Ententy oznajmiła, iż uważać będzie odtąd „linję demarkacyjną” za granicę polityczną. Widocznym celem tej rozległej okupacji jest uczynienie z ziemi węgierskiej bazy strategicznej przeciw armji sowieńców, walczącej na granicy rumuńskiej. Ukradzione nam terytorja dostarczyły żołdu dla wojsk rumuńskich, przeznaczonych do walki z rosyjską armją sowieńców. Ja, jako prezydent ludowej Republiki madjarskiej, zwracam się wobec tej decyzji konferencji Paryskiej, do proletarjatu wszechświatowego o pomoc i sprawiedliwość. Składam urząd, oddając władzę w ręce ludowego proletarjatu Węgier”.

Michał Karolyi.

...Maska spadła. Za Karolyi'im zbliża się to, co on nazywa „proletarjatem ludów węgierskich”. Są oni tam wszyscy na liście Rady rządu rewolucyjnego. Jak za czasów Karolyi'ego wystawiono naprzód chrześcijańskiego błazna, Aleksandra Garbari, dla otumanienia tłumów... Reszta to cudzoziemcy.

Komisarz ludowy spraw zagranicznych Bela Kun (Kohn) z pomocnikiem Agostonem (Augenstein). Komisarz wojny Józef Pogany

(Schwarz), pomocnicy jego Bela Szanto (Schreiber), Tyberjusz Szammely (Samuel), komisarz spraw wewnętrznych Eugenjusz Szandler, zastępca jego Bela Vago (Weiss). Komisarz oświaty publicznej: Zygmunt Kunfi (Kunstätter) i zastępca jego Jerzy Lukres (Löwinger) i t. d.

Wszyscy komisarze ludowi są żydami. Zastępcy — częściowo madjarami. Komisarze, pilnujący stolicy, straż miejska, policja—to żydzi.

Kto się nie zamyśli, czytając tę listę?

Dalej ogłasza rząd rewolucyjny, iż organizuje rady żołnierskie i włościańskie. Zamierza rozpocząć szereg wielkich dzieł: socjalizację większych majątków, banków, kopalń, przemysłu, transportu, reformę rolną, nie przez podział ziemi, lecz przez stwarzanie produkujących stowarzyszeń społecznych. Będzie skazywał na śmierć bandytów kontrrewolucyjnych, zarówno jak i rabusiów. Organizuje potężną armję proletarjacką. Ogłasza swą zupełną ideową i duchową wspólność z rosyjską Republiką Sowieców, proponując proletarjatowi rosyjskiemu sojusz wojenny. Przesyła braterskie pozdrowienia partjom robotniczym Anglii, Francji, Włoch, Ameryki, wmawiając im, by nie znosili chwili dłużej rabunkowej kampanji swych kapitalistycznych rządów przeciw węgierskiej republice Sowieców. Proponuje zbrojny sojusz robotnikom i włościanom czeskim, rumuńskim, serbskim i kroackim. Zachęca robotników Austrii niemieckiej i Niemiec do zawarcia sojuszu z Moskwą.

Pierwszy dekret rządu rewolucyjnego:

„Stan obłączenia. Ktobądź sprzeciwi się rozkazom Republiki Sowieców lub wywoła bunt przeciw Republice Sowieców, karany będzie śmiercią. Trybunał rewolucyjny sędzić będzie winnych”.

Po południu nadchodzą wiadomości, szczególnie autentyczne o dymisji Karolyi'ego. Wczoraj wieczorem, przed naradą ministrów, miał Karolyi długą, tajną konferencję z Zygmuntem Kunfim, który się udał następnie wprost do centralnego więzienia. W imieniu partji socjaldemokratycznej, porozumiał się on tam, na miejscu, z Belą Kunem i innymi komunistami. Ugoda została stwierdzoną piśmiennie. W tym czasie, w sali obrad dawnego parlamentu ogłosił Pogany-Schwarz dyktaturę proletariatu na Węgrzech zapomocą Rad Żołnierskich. Wydał już był koszary, składy broni i amunicję komunistom, którzy zawładnęli śpiesznie pocztą i telegrafem. Kunfi, dziennikarz Oskar Gëllert, Paweł Keri, mąż zaufania i doradca Karolyi'ego przynieśli wiadomość tę ministrom. Kazali wezwać Karolyi'ego, znajdującego się w Radzie, oznajmiając mu, iż zrewolucjonizowany lud, wołając: „Niech żyje Bela Kun!”, napętnia ulice miasta, że uzbrojeni robotnicy i żołnierze wymagają z rykiem ogłoszenia dyktatury proletariatu... Na mieście tymczasem był spokój, nikt się nie domyślał całej sprawy. Karolyi przeraził się. Wskutek nalegań Keri'ego i Kunfi'ego, ogłosił, że ustępuje, a Keri-Kramer zredagował akt dymisji. Karolyi podpisał go z cynizmem zbrodniarza. Gracz kontynuował grę, nie patrząc nawet na rzucaną przez siebie

kartę. Pobiegł do Ratusza i przeczytał triumfalnie na nocnym posiedzeniu „rady robotniczej” akt swej dymisji. Wówczas rada postanowiła, że Węgry staną się Republiką Sowieców. Zygmunt Kunfi podał Karolyi'emu inny jeszcze dokument: był to rozkaz prokuratorowi generalnemu wypuścić Belę Kuna i towarzyszy. Wkrótce potem, pojechał Kunfi samochodem po Belę Kuna, Vago, Szemully'ego i innych. Stawszy się wszechmocnymi władcami Węgier, opuścili więzienie, by opanować uśpione miasto.

W tym czasie Michał Karolyi z żoną znajdowali się w towarzystwie dawnego prezydenta rady Berinkey'a w jednym z pokoi pałacu prezydentury. Miasto zaczynało się poruszać w ciemnościach. Karolyi, drżąc pod okrywającą go kołdrą, zapytał, co się dzieje. Dowiedziawszy się, iż odezwa jego czytana była w Sowiecie robotniczym, spytał, ziewając:

— Jaka odezwa?

— Ależ... dymisja pańska...

— Niepodobieństwo! Ja nawet nie pamiętam dokładnie wyrażen owego dokumentu, tak nalegano na szybkie podpisanie go. Nie trzeba dopuścić do ogłoszenia odezwy.

Radca ministerjalny odrzekł, iż już jest za późno.

— Dzienniki drukują to właśnie. Ukaże się jutro.

Karolyi wyjąkał, że nie pragnie cofnięcia swej dymisji, chce tylko pewnej modyfikacji tekstu.

Lecz komuniści zawiadomili telefonicznie

o dymisji jego Wiedeń, wieść rozchodziła się telegraficznie.

To nie bajka. To nie powiastka, zmyślona dla postrachu. W nocy dnia 21 marca 1919 r., Michał Karolyi, o zapadłej piersi, o wąskiej czaszce człowieka niezrównoważonego, znajdował się w dawnym apartamencie Stefana Tiszy. Karykaturzyści i psychiatrzy mogliby przedstawić trzy sylwetki tego człowieka: pierwsza, ciemna i niewyraźna, zarysowana przez agentów mocarstw zwycięskich, z którymi Karolyi porozumiewał się w roku 1914 w Paryżu, i w trzy lata potem, w Szwajcarii. Druga sylwetka wyraźniejsza: Karolvi prosi w Belgradzie generała francuskiego Franchet d'Esperzy o niepotrzebne zawieszenie broni, następnie otwiera granice. Trzecia — to człowiek, podpisujący nocy wczorajszej, nawpół przez sen, dymisję swoją i uwalniający Belę Kuna, co pozwala komunizmowi zalać pozostałą część Węgier.

...Dziś zrana widział ktoś jego i żonę w czasie Corso na Dunaju. Karolyi miał u butonierki duży ponsowy goździk, pani Karolyi ubraną była w kołnierz czerwony i takiż kapelusz w kształcie czapki frgijskiej. Byli w dobrym humorze. Śmieli się. „Cieszę się — mówiła pani Karolyi do jednej z przwiaciółek — nigdy Węgry nie były tak szczęśliwe, jak obecnie”.

Podobnie odzywał się Michał Karolyi w swej pożegnalnej przemowie w Prezydenturze: „Jeżeli zniszczone zostały jakieś egzystencje, jeśli zrujnowano czyje mienie, lub potraktowano kogoś niesprawiedliwie w celu ukształ-

towania nowego porządku rzeczy, trzeba znieść to w interesie kraju. Lejmy oliwę na koła nowego rządu. Powodzenie jego leży w interesie rasy madjarskiej”.

W ten sposób przemawiały, spacerujące po dokonanym fakcie, obie te osobistości, strojne w prowokacyjny czerwony kwiatek, w czerwony kapelusz — barwy katowskiej.

...Czułam rozpaczłą żądzę czynu. Trzeba działać, choćby się miało umrzeć z tego powodu. Trzeba ożywić siły sparaliżowane przez zły czar, przerwać obłąd hańbiący! Potrząsałam gniewnie głową. Jutro... Jutro wrócę do domu... Zmęczenie zamknęło mi oczy.

III. Skrzypek „Międzynarodówki”.

Dworzec Wschodni zdawał się gorączkową zmorą. Ściany zawałane, pokryte ohydliwymi napisami, trociny pokrywające błoto sal niezamiatanych, mitraljezy stojące na stosach odpadków, skrawków papieru, zgnieciony nawóz na środku chodników. Wśród zepsutego powietrza zniecierpliwienie i tłoczenie się grubjańskiego tłumu.

Gdy Michał Zsigmondy brał bilet dla mnie, przyglądałam się ludziom. Wielu z nich spuszczało oczy — byli to uciekający; słychać było straszne przekleństwa. Jakiś niby marynarz oglądał przy wyjściu bagaże i wsuwał wciąż coś do kieszeni. Ujrzałam zdaleka Elżbietę Kallay i ona mię dostrzegła, nie witałyśmy się jednak. Siostra moja, Marja, była przy mnie, lecz roz-

mawialiśmy tylko spojrzeniem. Sekretarz Związku, Karol Kiss, podszedł do mnie.

— Będzie to krótka wycieczka — rzekł. — Przyszłe pani wiadomości.

W kiosku z dziennikami były tylko pisma komunistyczne.

Wśród tłoku poczekalni przycisnęłam siostrę do siebie.

— Żegnajcie, Zsigmondy.

I podałam rękę Karolowi Kiss.

Stałam już na platformie. Długo musiałam chodzić, by znaleźć miejsce w kącie przedziału.

Odejście pociągu było spóźnione. Dziwne figury kręciły się po korytarzu. Grubas jakiś otworzył drzwiczki i zajrzał do wnętrza, jakby kogoś szukał. Mimowoli spuściłam głowę. Wtem przed drzwiczkami stanął oddział żołnierzy, za nim nadszedł inny i przeszedł. Mignął skład broni i został za nami. Nagle w przedziale rozwidniło się. Byliśmy w drodze, pociąg posuwał się, zostawiłam za sobą miasto z jego komisarzami ludowymi, jego policją, aresztami, lochami... byłam wolna.

Czułam to przez jedną chwilę. Potem wszystko zmieszało mi się w mózgu. Ogarnęło mię zmęczenie. Druty telegraficzne szły w górę, ukazał się słup, łączący druty. Wówczas tylko spojrzałam po moich sąsiadach. Wszystkie miejsca były zajęte. Był tam oficer, któremu zerwano oznaki: ślady trzech gwiazdek widoczne były na kołnierzu. Szarą czapkę kawalerzysty ozdabiał czerwony kwiatek. Wkrótce zniknął Budapeszt. Oficer zdjął czapkę i wyrzucił czerwony kwiatek przez drzwiczki. Jakaś starsza pani,

przyglądając mu się, z przerażeniem odsunęła się od niego. Mąż owej pani nosił ostentacyjnie u butonierki godło komunistyczne „czerwonego człowieka”. Oboje zdawali się mocno przerażeni. Naprzeciwko dobrze ubrany pan kurczył się, wtulając nos w broszurę, zasłaniającą mu twarz niby parawan. Przeczytałam: „Biblioteka robotnicza”.

Na okładce narysowana była książka napółotwarta, z której wychylała się potargana głowa robotnika z latarką w ręku: symbol światła, idącego z książki. Odczytałam tytuł: „Zasady komunizmu” Fryderyka Engla, przekład Ernesta Garami.

Czyta to teraz. Zaczęłam się irytować. Cemu nie czytał wcześniej tej książki? Dlaczego nie przeczytali jej wszyscy ci ludzie cierpiący i drżący? Dlaczego nie drżeli zawczasu? Albowiem wszystko, co jest teraz, istniało już wśród nas w tysiącach tomów, w woli pewnych ludzi. Przez dłuższy czas były te broszury różowe wewnątrz, ponieważ nie ośmielały się być czerwonymi.

„Niewolnika sprzedają raz na zawsze. Proletariusz sprzedaje się codzień i o każdej godzinie. Niewolnik uwalnia sam siebie, znosząc niewolnictwo, proletariusz oswobadza się, znosząc własność, co stać się może tylko drogą rewolucji”.

Lecz rewolucja — to zniszczenie rodziny, religii, ojczyzny... Patrzyłam na nieznanomego czytelnika. Dlaczego nie przeczytał nic z tego, co się dzieje? Co robił od dziesiątków lat na Wę-

grzech dla uprzedzenia katastrofy? Któż szedł do ludu, by go oświecać?

Jakie wydawnictwo ludowe głosiło silnie, uparcie ideę Chrystusa, ważność ojczyzny i rodziny, istotne warunki życia ludzkiego? Tamci pracowali. Określali jasno cel swój, przygotowali wszystkimi słowami, pismami przyjsie swego królestwa. Lud madjarski pozostawał przez długie lata beczynny, teraz szaleje, bo ziemia usuwa się z pod jego stóp.

Mój towarzysz podróży czytał wciąż broszurę, przewracając gorączkowo jej kartki. W tej chwili człowiek jakiś zatrzymał się w progu korytarza. Trzymał skrzypce w czarnej, bardzo brudnej ręce, a czarne jego, żydowskie, skędzierzawione włosy stały mu wysoko nad czołem. Oczy miał nabiegłe krwią. Nozdrza miał z jednej strony wydarte, jakby dzikie zwierzę pogryzło mu twarz. Potworne to oblicze okaleczone uśmiechnęło się; podpierając skrzypcami siny podbródek, pociągnął smyczkiem w powolnym rytmie. Korpus jego pochylał się w sposób wstrętny podług taktu muzyki, każdy zaś ruch rozlewał się dokoła falą ciężkiego zaduchu. Człowiek i pieśń w połączeniu stanowili jedno wśród hałasu żelastwa pociągu.

Zazgrzytała „Międzynaródką”.

— Zagram raz jeszcze, jeśli kto będzie chciał nauczyć się tego — rzekł skrzypek po skończeniu zwrotki.

Obrzucił nas chytrem i groźnym spojrzeniem. Nikt nie odpowiedział. Tylko jegomość z czerwonym znaczkiem zerwał się z miejsca przerażony, rzucając szybko dwudziestokoronówkę,

którą wyciągnięta czarna dłoń złapała skwapliwie. Wkrótce tony zgrzytały w sąsiednim przedziale, już Żyd-włóczęga nauczał tam publiczność nowej melodji; stopniowo muzyka, ledwie dosłyszalna, oddalała się. Skrzypek „Międzynarodówki” niósł hymn swój aż do końca pociągu, pomiędzy zniechęconych i milczących podróżnych: „Jeżeli kto chce się go nauczyć...”

Aszad... Pociąg stanął. Słyszałam, że po Budapeszcie był Aszad miastem najbardziej rewolucyjnym. Nad szopą i dworcem powiewały czerwone sztandary. Przed jednym z wagonów zbierali się ludzie; inni, spóźnieni, nadbiegali, zdejmując kapelusze. Mały, gruby człowieczek o typie semickim wyszedł z zarezerwowanego przedziału. Może był niegdyś urzędnikiem banku, obecnie zwano go „towarzyszem komisarzem” i jakaś delegacja kłaniała mu się. Inne indywidualia przyłączyły się do grupy. Ktoś odezwał się, że byli to agitatorzy z Pesztu ze zbrojnymi żołnierzami. Terror i propaganda — dwa komunistyczne środki rządzenia. Skrzypek przyłączył się do nich. Był to również agitator. Przeszłam stację, niedostrzeżona przez tych ludzi. Byli zbyt zajęci sobą, by się troszczyć o podróżnych. Na dalekich szynach stał nędzny pociąg kolejki dojazdowej. Pani Kallay z córkami skierowały się w tę stronę. Poszłam za nimi. Usiadłyśmy w jednym przedziale, zamieniłyśmy parę słów. Im bardziej oddalaliśmy się od Aszad, miasta czerwonych, tem żywiej odzywało się we mnie poczucie wolności. Elżbieta Kallay szepnęła mi, iż ukrywa na sobie swój djadem. Córka jej, Lenke, miała pod płaszczem stary,

duży rewolwer. Popatrzyłyśmy po sobie i nie mogłyśmy wstrzymać się od śmiechu. Sąsiedzi nasi również zdawali się ukrywać jakieś tajemnice. Wielu z nich było podejrzenie tęgich i jakby z trudnością siedziało. Każdy coś uratował, teraz bowiem własnością było to tylko, co się mogło ukryć w ubraniu. Świeże i czyste powietrze wchodziło przez okna. Wilgotne grunta, głębokie i miękkie łąki, drzewa w pąkach, białe domki, drogi, wózki, chłopci idący pieszo... Tu żyje wszystko jeszcze...

Sylwetka Nogradu ukazała się nam wśród czarnego nieba. Lasy rude i nagie, białe wioski wzdłuż Galgi.

Za stacją czekał powóz. Stangret powitał nas z szacunkiem, który mię zdziwił... Odzwyczaiłam się już od tego. Na drodze wózki o skrzypiących osiach. Starzy chłopci zdejmowali przed nami kapelusze. Nie wiedzieli jeszcze, że nienawidzić trzeba ludzi nieszkodliwych. Gdzieś na wzgórzu dzwięczały dzwony.

Blask ognia oświetlał sień jednego z domów. W świetle tam stała kobieta. Powolna i zmęczona zrobiła znak krzyża. Kobieta nie wiedziała jeszcze, że nowe władze wypowiedziały wojnę Bogu. Droga skręciła w górę. Pod kołami zazgrzytał żwir. Pomiędzy drzewami otwarła się duża brama. Nagle światło spłynęło w cień. Wieże zamku Kallay wznosiły się u szczytu.

Siedziałyśmy wkrótce w ciepłym pokoju. Dom otoczony był ogrodem, ogród okryty nocą, a świat znajdował się daleko, hen...

IV. Za kryształową ścianą.

Minęło odtąd wiele dni, pamiętam jednak jasny ranek, gdym się tu obudziła po raz pierwszy. Sen się unosił nad ciszą czystą i nieskończoną, bez brzegów i skał... W ciszę tę wpadł niespodzianie dźwięk, jakby kwiat, spadający w rozszerzające się fale ciszy.

Za okratowanym oknem, na gałęzi, ptaszek. Zamiast piekła ludzkiego, wąskich ulic, ciemnych murów, — gałąź i ptak. Oczy me napełniły się łzami.

Cicha wioska... Widać dzwonnice na wzgórzu i dachówki kościelnego dachu. Niżej małe domki, podwórka. Wieczorem ludzie zasypiają wcześniej. Oświetlone okno jest rzadkością. Dźwięczą dzwonki bydła, gdzieś pies zaszczeka, strach się nie wślizga, jak złodziej nocą, o świcie nie siada na progu troska o przeraźliwym obliczu. Dzisiaj wygląda tak, jak Wczoraj, a Jutro też innem nie będzie. Niekiedy zdaje mi się, że świadomość moja uleciała ode mnie wyczerpana. Kryształowa ściana wznosi się między mną, a światem. Zdawałoby się, iż wioska jest gdzieś poza tą ścianą, po tej stronie zaś tylko zamek, park dworski, wąskie dróżki, po których nikt nie stąpa, prócz spokojnej przeszłości. Ławki są tu dla przyjemności, nie dla wypoczynku, kwiaty wyłącznie dla piękna, ciemne fijołki na to, by kwitły i umierały.

W jasnym słońcu ukazuje się i znika koronkowy kapelusz. Wdowa Benjamina Kallay przechodzi pod mem oknem. Mąż jej był naj-

lepszym ministrem finansów za Franciszka Józefa, rządcą Bośni-Hercegowiny, uczonym i historykiem. Starsza pani, królowa bez korony, błyszczała niegdyś na uroczystościach Wiedeńskiego Burgu, jako jedna z piękniejszych dam dworu. W tej chwili naradza się z rządcą co do zasiewów wiosennych, których plony dojrzałe może już do niej należeć nie będą. Czy będzie jeszcze władała domem i ogrodem? Niepewność... Obawia się o córkę i o syna. Elżbieta Kallay była jedyną węgierką wśród dam dworu królowej Zyty. Komuniści patrzą na nią złem okiem. Fryderyk Kallay był adjutantem arcyksięcia Józefa: poszedł za księciem, gdy ten opuszczał Budapeszt. Odtąd niema o nim wieści.

28 marca.

Białe podwoje dużej sali otwierają się pochichu. W jadalni pali się w zielonym, majolikowym piecu, na purpurowym abażurze lampy leży cień sufitu. Świąteczny kufer Emeryka Thököly stoi pomiędzy oknami. Na ścianach półmiski perskie, stare chińskie talerze. Lokaj wygląda dostojnie w czarnym ubraniu z białym, lśniącem gorsem i w białych rękawiczkach. Srebrzone guziczki błyszczą w obfitości na ubraniu lokajczyka. Myślę o naszym domu. Wieś dostarcza jeszcze obficie wszystkiego, czego już oddawna brak miastu. Przypominam sobie zeszłą zimę: pozamykane sklepy, skąpe pożywienie. Ach, gdybym mogła dać te wszystkie wygody komuś mnie znanemu!... I nagle

odczuwam istnienie szklanej ściany między mną, a światem rzeczywistym. Pani Kallay siedzi na pierwszym miejscu w białej, jedwabnej sukni. Odrzuca trochę głowę wtył. Nad delikatnym profilem wznoszą się bujnie białe włosy, odkrywające czoło. Pełny podbródek zagłębia się w koronkach. Nie wiem, dlaczego twarz ta przypomina mi niektóre portrety Ludwika XV, króla Francji. Daje znak do wstania. Chód ma powolny, majestatyczny. Podwoje otwierają się przed nią, my zaś idziemy za nią.

Nazewnątrz, poza kryształową ścianą, słysząc bębnienie po ulicach wioski. Poprzez taras dochodzą do nas urywki zdań.

„...Rząd rewolucyjny... założono trybunały rewolucyjne. Każdy się składa z prezydującego i dwóch sędziów... Komisarz oskarżenia... kara śmierci... Wykonanie natychmiastowe...”

W myśli mej pozostają dwa słowa, przesłające mnie: „Lenin jest tutaj”. Za kryształową ścianą grzmi bęben. „Propagatorzy fałszywych wieści... trybunał rewolucyjny... kara śmierci. Zniesienie stopni i tytułów... Niema już szlachty węgierskiej w Republice Sowietów...”

Lokaj przynosi srebrną tacę. „Czy pani Hrabina życzy pić kawę w salonie?” Wydaje mi się, że patrzę przez zasłonę na duży salon, gdzie widmowo trwa jeszcze dawne życie. Czy to obraz, czy rzeczywistość? Biała dama ze śnieżną, wtył odrzuconą głową między koronkami, wsparta na poręczy fotelu, dalej dwie jej córki, jedna pochylona, ślicznym ruchem nad haftem, druga, przerzucająca białą ręką karty książki.

Pod oknem milczący fortepian chowa w sobie wszystkie harmonje i rozdźwięki. Światło drży na wielkim weneckim świeczniku o kryształowych kwiatach, które świeciły niegdyś Marii Teresie. Pomiędzy dwoma staroświeckimi pastelami dwa portrety dziecinne—złożony empirowy zegar, bicie jego przypomina szelest kłosów. Powoli z kłosów tych wydzielają się drobne ziarnka chwil i spadają, — to życie sypie się tak bezpowrotnie sekunda za sekundą. Nieruchome obrazy... Nic się jeszcze nie zmieniło. Tymczasem wdali rozlewa się prąd bagnisty. Idzie z czerwonego miasta, zalewa pola, dotyka wiosek i uderza o chaty. Zbliża się, a wiatr, co go zwiastuje, pędzi widma, które się wślizgują aż tutaj i patrzą w nasze okna.

Gdzieindziej podnoszą się kosy przeciw zamkom. Ograbieni właściciele porzucają ojczyznę lub chronią się do „Produktywnych stowarzyszeń” dyktatury. Będą we własnych swych majątkach rządcami Beli Kuna. Los idzie... Lecz tu, w tej dużej sali, rytm życia się nie zmienia. Mężnie oczekują tu nieuniknionego, nie zrzekając się przeszłości, dla otrzymania łaski Losu lub zwłoki.

V. Propaganda komunistyczna na wsi.

Komuniści z Aszad przybyli na wieś, i ściana kryształowa pękła nagle.

Agitatorzy ustawili stół na podwórzu merowstwa. Perorowali, stojąc na nim. Gdyśmy rozpytywali stangreta o tę przemowę, spu-

szczał oczy, jakby się wstydził opowiadać to, co usłyszał.

Będą tutaj jutro. Wieczorem ktoś zapukał leciutko do mego okna. Elżbieta Kallay, ubrana w wiejskie futro, stała w mroku...—Wyjdźmy. Cień wieczorny dławi mię wśród murów. Powietrza — bo się uduszę.

Na dolinę Galgi spływał z wiatrem mróz niewidzialny. Wracałyśmy do zamku przez podwórze folwarczne. Z obory padał blask lampy. Na progu siedziała różowa, jasnowłosa dziewczynka. Wewnątrz przy krowie przykucnęła kobieta, słychać było równomierne spływanie mleka w skobek. Mężczyźni mówili o agitatorach z Aszad.

— Niech szczekają — rzekł spokojnie wieśniak —zobaczymy wpierw, czego chcą tam wyżej, w Budapeszcie.

Nie dostrzegłam twarzy jego w ciemności, lecz zdało mi się nagle, że stał tam nie jakiś określony człowiek, lecz samo uosobienie chłopca madjarskiego. Podejrzliwy i nieufny, nie mówi wcale, a w obecnej chwili i pracuje niewiele. Pochylony nad pługiem, obserwuje poważnie, czyją będzie ziemia.

— Michał Karolyi obiecał ją nam. Nie dał jej coprawda, ta zaś, którą wydzielił z dóbr swoich, należała, jak mówią, do kogoś innego.

— Komuniści obiecują jeszcze więcej — rzekła Elżbieta Kallay tym cudownie ostrożnym tonem, jakiego nauczyły nas czasy ostatnie.

— Powiadają mieszczanom, że wszystko do

nich należy — odparł mleczarz. — Nam również mówią, że ziemia należy do wszystkich.

— Naturalnie — mruknął stangret — niełatwo zrozumieć to nowe prawo.

— Dlatego to zrazu słuchaliśmy komunistów — rzekł mleczarz — chcieliśmy wiedzieć, co zrobią z ziemią.

Lecz potem...

Zamilkł na chwilę, jakby się radził kogoś w ciemnościach. Powie, czy nie powie? Stangret ciągnął dalej:

— Gdy zaczęli mówić o nowym prawie, że niema już religii, nie sprawiło mi to przyjemności.

— Ani to również — rzekł wówczas mleczarz — iż ci, co żyć będą ze sobą w cudzołóstwie przez lat kilka, staną się małżeństwem prawnem.

Nastąpiło milczenie. Mężczyźni, jakby wstydząc się mówić z nami o tych sprawach, rozmawiali ze sobą.

— Kobiety naserjo się pogniewały — rzekł, śmiejąc się wieśniak — gdy oni „deklamowali”, iż męzczyzna żonaty może się żenić nanowo, ile razy zechce, dawne bowiem małżeństwo nie liczy się, o ile się oznajmi, że się chce zmienić żonę.

Powaga pierwotna rozproszyła się.

— Komuniści powiadali zpowrotem na wózek. Nie wrócą już tutaj za nic w świecie.

W oborze kobieta kończyła dojenie. Stała w drzwiach z córeczką. Odezwała się nagle ponurym głosem:

— Opowiadali również, że zamienią kościo-

ły w kinematografy, że niema już ani bękartów, ani dziedzictwa, że państwo zaopiekuje się dziećmi.

Na te słowa dziewczynka, popłakując, zła-
pała matkę za spódnicę.

— Mamusiu — rzekła przerażona — czy
mię nie porwą?

Stangret zaczął się śmiać. Kobieta potrzą-
sła głową.

— Porwą cię, jeśli nie będziesz grzeczna.

Dziewczynka zaczęła krzyczeć, matka
wzięła ją na ręce. Jeden ten gest miłości obalał
całą teorię komunizmu.

Odeszła, ściskając płaczącą córeczkę, jak-
by się złała z nią w jedno.

Odprowadziłam je spojrzeniem. Za niemi roz-
ciągała się cicha, ciemną falą noc, okrywająca
powoli uśpioną wioskę.

Na gwiazdzistem niebie rysowały się tylko
dachy chat wiejskich.

A jednak Lenin doszedł aż tutaj!

Wieś śpi, osłabiona krwawemi ofiarami woj-
ny. Nie wykazuje żadnego oporu, lecz we śnie
nawet trzyma się konwulsyjnie ziemi. A ziemia
to ojczyzna, ojczyzna zaś, to wielkie Węgry.

Uczułam, jak mi serce biło miłością dla wsi.
Wieś madjarska, egoistyczna, jak dziecko, obo-
jętna, jak drzewo, mocna, jak czas. Niema ona
innych namiętności nad dzikie upojenie
wzgórz, starożytne pragnienie być zapłodnioną
i zapładniać mężczyznę, kobietę i ziemię. Do
niej należy też siew i żniwo.

W głębi rodziło mi się przeczucie.

Czy będziesz zbawicielką naszą, wieczna
wsi madjarska?

2 kwietnia.

Nienawiść klasowa napełnia domy Budapesztu strażnikami i szpiegami. W każdym domu jeden z lokatorów jest delegatem, wybranym szpiegiem nowej władzy. Pilnuje, męczy i denuncjuje. Od niego zależy rozdawnictwo bonów żywnościowych. Może odebrać chleb każdemu podejrzanemu. Do niego należy się zwracać o pozwolenie, gdy się chce kupić drzewa, mydła, sznurowadła, lecz bony na kupno rozdaje on tylko proletarjatowi. W Budapeszcie mijają całe tygodnie bez mięsa. Z prowincji przychodzi go niewiele. Brak jest środków żywności. Ogłaszają z wielkim hałasem: „Dobrobyt rodzi się z produkcji społecznej”. Rzeczą delegata domowego jest, by proletariusz nie dostrzegł jeszcze głodu. Należy ograniczyć potrzeby pracowników umysłowych. Trzeba odebrać burżujom bony żywnościowe... Wszystko dla proletariatu! Nikt jeszcze na świecie nie miał takich przywilejów. Przywileje te zapewnia się robotnikowi nie przez umiłowanie go, lecz z nienawiści do chrześcijańskiego i madjarskiego mieszczaństwa. Podła przyjemność męczenia jest zasadą nowego rządu, wnoszącą w życie coś dziwnego i nieznanego. Pod pokrywką filantropji lokują władze żydów galicyjskich i lupenproletariat u znienawidzonej burżuazji. Kuchnia jest wspólna. Mieszkaniec-burżuj musi pozwolić nowoprzybyłym na używanie swych sprzętów.

Żeby nawet ognisko domowe domem być przestało, by nie było odpoczynku nawet w ciasnym, pozostawionym wam, zakątku mieszkania, nakazuje żydowski dyktator stolicy: „Wanny dla dzieci proletariatu”. Brzmi to humanitarnie, w istocie jednak jest to tylko upozorowanie nowego prześladowania. Ukazała się ziejąca nienawiścią odezwa, iż „kobiety z burżuazji, idące z jedwabnych pościeli do wonnych wanien”, ustąpić muszą drobnej działalności proletariatu, pozbawionej zabiegów higieny.

...Rozkaz brzmi dosłownie:

„Zużytkujemy łaźienki w mieszkaniach prywatnych przez cały dzień sobotni co tydzień na bezpłatne kąpiele dla dzieci, mających bony ze szkół lub przytułków. Właściciele łaźienek dostarczać muszą bezpłatnie opału, oświetlenia, ręczników i mydła”. Podpisane „Maurycy Prenszt”.

Lecz dzisiaj warstwa, zwana przez nich burżuazją, nie może kupić ani opału, ani mydła. Ponieważ hasłem ich jest: „Niech giną burżuje”, może więc cieszą się, wprowadzając robactwo i zarazki do domów czysto utrzymanych. Nadają sobie przed obcymi pozory filantropji i dostarczają zabawy motłochowi. Otwierają zamknięte drzwi, mówią grubijaństwa, zabierają, co się podoba, widzieć ludzi bojaźliwych— jest to dzisiaj „przyjemność bezpłatna”.

Od paru dni zaalarmowane są domy Budapesztu straszliwą wieścią, powtarzaną szepcetem: Tyburcjusz Szamuely zamierza dać po-

zwolenie motłochowi na trzygodzinny wolny rabunek...

Obraz rodzinnego domu prześladowuje mnie ciągle, widzę matkę moją samą wśród swych starych mebli.

Przebiega mieszkanie, dotykając rzeczy mówiących o mej babce i prababce, opowiadających historję jej własnego życia... Nie może pisać, — nie mogę pisać! Chciałabym pojechać do niej choćby na jeden dzień, na jedną godzinę.

Gdym to wypowiedziała, Elżbieta Kallay spojrzała na mnie.

— Wiesz ilu naszych jest w centralnem więzieniu. Czy chciałabyś się tam dostać również?

Zdawało mi się, iż widzę przechylającą się ku mnie twarz mej matki i słyszę głos jej... „Bądź spokojną o mnie i nie wracaj aż...”

V. Rewolucja na wsi.

Ludzie z Dyrektorjatu wioski przyszli do zamku dla zrobienia inwentarza całego umeblowania.

Czuć było atmosferę przymusu. Kaszel nerwowy łechtął gardła. Niżej widać było na drodze czarne, niedzielne kapelusze. Pani Benjaminowa Kallay mówiła osobiście z wieśniakami. Najzuchwalszymi byli „łotrzyki wiejskie”. Inni patrzyli w ziemię i szturchali łokciem sąsiada: „Powiedzże ty cokolwiek”. Myślałam o niebieskich pawiach Serwskich; znajdujących się w sali na górze, o perskich półmiskach i starych wachlarzach w witrynie. Jak je zinwentarzują?

„Niewolno przynosić wina z piwnicy. Alkohol zakazuje się. Należy pozostawić wszystko na miejscu, — rzekł jeden z ludzi — teraz bowiem wszystko należy do Państwa”.

Inni kiwali głowami i oglądali się na wszystkie strony.

„Przyjdą ludzie z Gyamatu”. Ostatecznie nie zrobiono inwentarza. Nowe kapelusze Dyrektorjatu zniknęły między krzakami ogrodu. Jeden z nich pozostał w tyle. Starzec z głową odkrytą i smutnymi oczami:

— Szanowna pani, — szepnął zmieszany. Prosił o trochę wina.

— Oni się o tem nie dowiedzą.

Chciałby zanieść wina chorej młodej, umierającej kobiecie...

Ukrył szybko butelkę pod płaszczem.

Rząd Sowietów grozi trybunałem rewolucyjnym temu, kto pije wino. Niedozwolono go nawet chorym. A jednak pijani żołnierze zataczają się bezkarnie po ulicach. Komisarze ludowi piją szampan, wyrzucając puste butelki przez okna swych szybkich ekstracugów. Piją również w sowieckim domu w Peszcie, dawnym, zajęтым przez nich, hotelu Hungaria. Usunęli w kilka godzin wszystkich mieszkańców. Komisarze zainstalowali się tam z rodzinami i kochankami.

Grzebano we wsi kobietę. Młoda była, prawie dziecko. Wczoraj jeszcze piła zakazane wino, dziś już jej niema.

Postawiono trumnę na wymiecionem starrannie podwórzu. Matka ubrała sama zmarłą, jakby ją układała do łóżka. Nagle uklękła na

ziemi, gładząc deski drżącą dłonią. Wołała zawodząc przeciągle: Biada, biada! Po coś mi ją zabrała? Dlaczego nie umarłam zamiast niej?"

W ten sposób przemawiają matki do śmierci. Lecz cóż powiedzą żywym, gdy ci zechcą zabierać im dzieci?

Skargi coraz głośniejsze zapanowały nad wszystkim. Śpiewak odśpiewał psalmy i pożegnanie ostatnie, o rytmie bardzo staroświeckim, wciąż się powtarzającym żałośnie. Wędrowni śpiewacy, wałęsający się skrzypkowie, płakali tak w ostatnim pożegnaniu, zwróconem do wszystkich krewnych nieboszczki, wymieniając każdego po imieniu.

Mąż, którego wymieniono zkolei, ukrył twarz w kapeluszu, łkania wstrząsały nim całym.

Inni popłakali i przestali. Staruszka, matka nieboszczki wciąż płakała.

Wszyscy oni opłakiwali siebie. Tylko umarła w trumnie nie litowała się nad sobą.

Na podwórzu znajdowało się drzewo, jedna z długich gałęzi pochylała się z wiatrem, cień jej w zmatowanym blasku słońca zarysował się na deskach trumny, jak drżąca niebieskawa żyłka. Z konturów cienia dostrzegałam, iż drzewo miało pęki i, że to była wiosna.

Miałam dzisiaj pierwszą wiadomość z domu. Karol Kiss, mój wierny przyjaciel, uciekł z tych przeklętych murów i przywiózł mi list od matki. Jej pismo...

Matka zdrowa. Już przeniosła się do naszego domu w Hübösvölgy (letnisko pod Buda-

pesztem). Dobrze jej tam, spokojnie. Karol Kiss przywiózł same dobre nowiny. Matce dano do wyboru mieszkanie w mieście lub willę na letnisku. Stało się to nagle. Wczoraj już się wyprowadziła. Do mieszkania w mieście przyszli czerwoni żołnierze, zachowywali się jednak bardzo przyzwoicie. Umieszczono u nas zaledwie trzy rodziny i jedną szkołę. Nic się jednak złego nie stało. Wszystko poszło gładko. Ubyło tylko trochę mebli i obrazów z mieszkania.

Czerwoni żołnierze. Czułam, że kręci mi się w głowie. Jakto. Wyrzucili matkę z mieszkania. Właśnie w dzień jej urodzin. I raptem zaczęły mi się przypominać różne drobiazgi z naszego mieszkania. Drobne skarby ze starej serwantki. Żółta dama z porcelany w krynolinie tak zatrwajająco cienka w pasie... Gdzie to się wszystko podziało. A akwarele. A moje książki, rękopisy.

Jerzy Likāci-Löwinger — komisarz oświaty ludowej zarządził, że wszystkie prywatne biblioteki pozostawione w mieszkaniach są własnością republiki. Wartościowe obrazy zostają socjalizowane...

„Wszystko na miejscu” — upewniał mnie Karol Kiss, ale nie mogłam uwierzyć temu, co w dobroci swego serca chciał we mnie wmówić.

Ujrzałam nasze mieszkanie. Obce postacie chodzą po niem, drzwi wejściowe otwarte, przez nie wychodzi moja biedna osamotniona matka.

VI. „In paradisum“...

Kapłan pobłogosławił trumnę, jak dziecko przy chrzcie, małżonków na mszy ślubnej, tym samym pięknym gestem, jakim od czasów Chrystusa błogosławią na ziemi w imię Jego Życie, Miłość i Śmierć.

W Budapeszcie tymczasem każą władze czerwone zamykać kościoły i chcą przerobić je na kinoteatry. Duchowieństwu chrześcijańskiemu grożą szubienicą. Prześladowają nauczających mnichów, wypędzają zakonnice z ochronek i szpitali. Zdzierają z nich ubrania zakonne. Domy ich zmieniają w miejsca komunistycznych zebrań lub tajnych lupanarów.

Socjalizm teoretyczny wyrzekł, że religja jest „sprawą prywatną”. W chwili obecnej, gdy się przechodzi od teorii do krwawej rzeczywistości, nie jest to już „sprawą prywatną”. Zniesiono własność prywatną, zmieniając ją we własność ogólną. Zniesiono religję, jako własność prywatną, zrobiono z niej „sprawę ogólną”.

Dwudziestu sześciu żydów komisarzy ludowych, reguluje dzisiaj na Węgrzech sprawy publiczne w imię dyktatury proletariatu. Krzyżują słowo, jak niegdyś przed dwoma tysiącami lat, ukrzyżowali Chrystusa, tą samą gwałtownością i ślełą nienawiścią. Lud znajdujący się u stóp krzyża nie wie, kogo z wściekłą nienawiścią, drwinami i plwaniem przybijają u szczytu nad ich głowami.

Łatwiej jest traskać batem nad bydłem, niż nad ludźmi. Oto czego pragnie komunizm.

Albowiem ten, kto odbiera ludowi religję, odbiera mu wszystko, co jest poza łóżkiem, miską i butelką. Zabiera mu za jednym razem moralność, filozofję i estetykę jego.

Ludzie uklękli dokoła trumny, albowiem ktoś im rzekł, by się modlili. Weszli w siebie i podnieśli się ponad „misę i butelkę”, bo mówiono im o Bogu, istniejącym ponad ludzkością.

Potem pochód żałobny wyszedł z podwórka. Czterech mężczyzn niosło trumnę. Jednym z nich był mąż. Od czasu do czasu pochylał głowę ku skleconym deskom, jakby się opierał na ramieniu żony. Żale oddalały się wstępując na wzgórze. Wysoko jęczał dzwon brązowy, dzwon przemawiający jeszcze do umarłej, gdy ludzie już nie myśleli o niej. Dziewczęta o kolorowych wstążkach przechodziły kołyszącym się krokiem. Dwóch chłopów targowało krowę paląc fajkę. Jakiś młodzik szczypał wesołą dziewczkę.

Po czysto zamiecionem podwórku chaty kręcił się biały kotek, skacząc wesoło. Drób gonił się. Kogut dziobał kury po szyjach, a grzebień jego migał, jak płomień. Cień gałęzi w pąkach rysował się po ziemi na podłużnym śladzie pozostawionym przez trumnę. Wszystko było jak przedtem. Ja jednak nie zapomnę nigdy, iż w roku tym ujrzałam pierwsze objawy wiosny na trumnie.

7 kwietnia.

Dowiadujemy się, że Wiedeń wypędził cesarza z Eckertson, jak wypędził go z Schoen-

brunu. Eskorta oficerów angielskich towarzyszy mu wraz z rodziną do Praugiers, gdzie ma przebywać. Te same góry Szwajcarji, z których wyszedł kiedyś Rudolf, hrabia Habsburg trzymając w zaciśniętej pięści cały los swego rodu i koronę Cezarów, przyjmują po ośmiu wiekach Habsburga wygnańca, trzymającego w dłoni swej tylko przeszłość...

Parę wierszy... Prasa żydowska poświęca tej wiadomości tylko parę wierszy, królowi, który ją zawsze dobrze opłacał i któremu się dawniej mocno przypochlebiało. Prawdziwy Węgier, cobądźby myślał, milczy obecnie z szacunku wobec niedoli człowieka i monarchy.

Karol IV pokutuje na wygnaniu, za własne winy i winy przodków, które się skupiły przez czterysta lat, — przodków, którzy nie mieli nigdy serca dla Węgier. Dom panujący pozwalał swej kamarylli osłabiać Węgry systematycznie. Kamarylla zaś nie rozumiała nigdy narodu „Pusztzy“, wypuściła na niego, by go pilnować i gnębić różnorodne hordy, jak naprz.: chałatowatych przodków Beli Kuna i Szamuely'ego. Działając przeciw nam, działali sami przeciw sobie. Habsburgowie ci nie czuli, jak dalece nasza siła była ich siłą, nasza słabość ich słabością. Wszystkie części Cesarstwa były przedłużeniem innych narodów, pociągających je poprzez granice: Austriacy spoglądali ku Niemcom, Polacy ku Warszawie, Czesi ku olbrzymowi rosyjskiemu. Wołosi ku nowej Rumunji, Słowianie północni ku Serbom, Włosi ku Włochom. Obywatele izraelscy ku wszechświatowej potędze żydowskiej Międzynarodów-

ki. Wyłącznie Madjarzy nie mieli krewniaków. Nie spoglądaliśmy w żadną stronę. Nikt nas zzewnątrz nie pociągał. A jednak monarchowie pieścili inne narody, dając im wszystkim skarby i dobra. Narody te odeszły z naszą siłą, naszym dobrem i naszymi skarbami. Divide et impera zasiewane przez cztery wieki dojrzało. Ludy się rozdzieliły, a wśród ułomków Cesarstwa upadła korona w próżnię.

8 kwietnia.

W tem co zostało z Węgier odbyły się wybory. Teraz, gdy socjalizm jest u władzy wykazuje on swój sposób realizowania „tajnego, powszechnego głosowania”.

Wczesnym rankiem ludzie ze wsi, mężczyźni i kobiety, udali się do merostwa. W Republice Sowietów, wyłączne prawo głosu ma proletarjat, lecz kto prawa nie dopełni, traci temsamem swój bon żywnościowy i wezwanym być może przed trybunałem rewolucyjnym. Duchowieństwo nie głosuje. Adwokaci nie należą do „proletarjatu”. Szlachta Węgierska, zajęta na roli, nie głosuje. Ani okaleczeni bohaterowie, ani oficerowie inwalidzi nie są wyborcami. Lecz wszyscy rosyjscy żydzi, wszyscy żydzi obcy głosują, jeśli są proletarjuszami. I ludzie ci którzy jeszcze wczoraj pięli się, by należeć do inteligencji, stali się nagle „proletarjuszami” choćby byli synami bankierów...

Na progu merostwa stoi człowiek, który wsuwa w rękę wyborcy gotową listę kandydatów oficjalnych.

Głosujący obracają kartki na wszystkie strony, niektórzy klną.

— Skreślmy to... — Napiszcie takie to nazwisko — powiadają kobiety.

Wówczas komisarz wyborczy wykrzykuje:

— Niech się, nikt nie ośmiela skreślić nazwisko kandydata lub wpisać inne.

— Towarzyszu, — pyta wyrobnik, — co mam zrobić z tą listą.

— Ależ, towarzyszu, głosuj na nią, odpowiada komisarz wrywając mu listę z ręki.

— Niech ich licho, — mruczą ludzie. I składają swe listy na stole wyborczym, a jednym ruchem tym, wybiera proletarjat triumfujący, dumny ze swej roli „Radę gminną”. W ten sposób odbywało się to i w sąsiedniej wiosce i wszędzie, nawet w Budapeszcie.

Tak to pokazał socjalizm, jak realizuje swój program, gdy jest u władzy. Rzecznicy absolutnej wolności prasy, tolerują już tylko dzienniki oficjalne. Ci, co walczyli o prawo wolnych zebrań, zakazują zgromadzeń na ulicach. Żądając niegdyś zmniejszenia godzin pracy, nakazują pracę przymusową. Zaciekli wrogowie militarizmu wyją na uroczystościach poborowych: „Wstępujcie wszyscy do armji czerwonej”. Pieśniący się demagogowie „powszechnego tajnego głosowania” układają listę „kandydatów oficjalnych”. Obca rasa wykończa wreszcie budowlę, przy której cieślami i podawaczami cegieł byli oszukani i obłąkani robotnicy węgierscy. Czy robotnicy ci domyślają się do jakich celów użyto ich syndykatów? Ci, którzy doszli

do władzy przez syndykatów gotują się do obalenia ich.

VII. Bolszewizm i duch żydowski.

Nieszczęście ciąży, rozszerza się i zapanowuje nad światem. W nocy na 7 kwietnia ogłoszono Republikę Sowieatów w Monachjum. Czy pójdzie za nią nieszczęsna czerwona Austria? Wówczas panowanie potwora rozciągałoby się od skrajnego Wschodu do Brzegów Renu.

Bestjalska tyranja szerzy się nad ludami osłabionymi przez wojnę. Fala w nieskończonym swym wirze unosi miasta, narody, części lądów. Podziemna — wytryska ona przez pęknięte ścieki, opanowuje domy, wznosi się po marmurowych schodach banków, rozlewa się po kolumnach dzienników. Wszędzie, gdzie grunt rozmiękły zdaje się ustępować, pieni się ona i wszędzie jest to ta sama fala. Niepodobni są wcale do siebie, mistyczny i niezdecydowany Słowianin, Madjar gwałtowny, lecz wierny tradycjom, Niemiec ociężały i zastanawiający się... A jednak ponad nimi kształtuje się bolszewizm temi samymi środkami o tych samych cechach. Temperament narodowy trzech narodów, nie odbija się wcale w strasznych koncepcjach zrealizowanych zgodnie przez ludzi jednakich duchem w Moskwie, w Peszcie, w Monachjum. Od czasu rozkładu Rosji był tam Kierenski, potem przyszedł Trocki, czatujący w cieniu Lenina. Gdy osłabły Węgry od upływu krwi: za Karolyim czekali Kunfi, Jasszi i Pogany, potem Bela

Kun i sztab jego. Gdy się zachwiała Bawaria gotów już jest inscenizator pierwszego aktu rewolucji, Kurt Einer. W drugim akcie ogłasza Marks Levien (Lewi) żyd z Moskwy, dyktaturę proletariatu w Monachjum, powtórzone wydanie bolszewizmu rosyjskiego i węgierskiego.

Specyficzne różnice między trzema narodami są tak wielkie, że tajemnicze podobieństwo wypadków nie może być zależnem od analogji tych ras, lecz od pracy rasy czwartej, żyjącej wśród tamtych, nie mieszając się z nimi.

Z pomiędzy współczesnych narodów o krótkiej pamięci, jest naród żydowski ostatnim przedstawicielem starożytnej cywilizacji wschodniej. Spadkobierca tradycyji biblijnych przywołuje gorliwie godziny urzeczywistnienia wielkich klęsk, przepowiedzianych od tyłu wieków. Czy nim pogardzają, czy się go obawiają, pozostaje wiecznie obcym. Przychodzi niewołany, pozostaje nawet, gdy go wypędzają. Rozprasza się, a jednak jest jednolity. Umieszcza się w ciele narodów. Wytwarza prawa nazewnątrz lub wewnątrz praw. Przeczy idei ojczyzny, ma jednak swą ojczyznę, którą unosi ze sobą i która się umieszcza z nim razem. Neguje Boga innych ludów, wszędzie jednak odbudowuje Świątynię. Opłakuje zniszczone wały Jerozolimy i wznosi, niedostrzeżony, nowe wały. Skarży się na osamotnienie i łączy przez tajemnicze kanały części nieskończonej Jerozolimy, pokrywającej świat cały. Ma wszędzie stosunki i związki, czem się tłumaczy, w jaki sposób skoncentrowane w jego rękach kapitał

i prasa służyć mogą we wszelkich okolicach świata tym samym celom oraz interesom rasy, które są identyczne w wioskach rusińskich i w Nowym Jorku. Gdy wysławia kogo, wysławia świat cały, gdy kogo zrujnować pragnie, praca destrukcyjna dokonywa się tak, jakby nią kierowała jedna ręka. Rozkazy przychodzą z tajemniczych mroków. Z czego duch żydowski drwi, i co niszczy u innych narodów, to przechowuje fanatycznie wewnątrz judaizmu. Jeżeli uczy innych buntu i anarchji, sam posłusznym jest przedziwnie niewidzialnym przewodnikom.

W czasie rewolucji tureckiej rzekł pewien żyd dumnie do mego ojca: „My to robimy, Młodzi Turcy to my, żydzi”. Za czasów rewolucji portugalskiej słyszałam markiza Vasconcellos, portugalskiego ambasadora w Rzymie, mówiącego: „Żydzi i wolnomularze kierują rewolucją w Lizbonie”. Dzisiaj, gdy większa część Europy uległa rewolucji, prowadzą wszędzie ten sam ruch, podług jednego planu. Jak się im udało ukryć ten plan, który ogarniał świat, a nie był dziełem kilku miesięcy lub lat kilku? Stawiali przed sobą krajowców ślepych, lekkomyślnych, występnych, przewrotnych lub głupich, służących im za parawan i niewiedzących o niczem. Wówczas działali bezpiecznie owi straszni organizatorowie, synowie rasy starej, umiejącej dochować tajemnicy.

Oto dlaczego żaden z nich nie zdradził innego.

13 kwietnia o świcie.

Trzciny paliły się w piecu. Przyglądałam się im długo. Rozsypały się już, jest jednak zimno. Nigdy nie czuła takiego zimna. Siadam i piszę. Nie piszę dla innych, piszę wyłącznie dla siebie, by ulżyć swemu sercu.

Dzisiaj wieczorem przybył Karol Kiss. Udało mu się wymknąć policji i przywieźć nam wieści.

Po wszystkich zakątkach Węgier przesładują wszystko, co jest madjarskie. Wszędzie życie ludzi, którzy się ośmielili walczyć z nimi, oddane jest na łup tym psom, wietrzącym krew. Jam z nimi walczyła. Życie moje jest w rękach jednookiego terrorysty imieniem Mikuli, przezwiskiem Cyklop, o którym nigdy nie słyszałam. Powiadają, że zbiera żniwo okupów w Matyosföld i że jest dyktatorem pola awjacji. Szamuely miał się wyrazić o nim: „Jest on tak okrutny, że ja sam z nim nic nie poradzę”. Temu to jednookiemu potworowi oddano mię. Podobno powiedział: „Muszę ją zgnieść...” Odtąd życie moje zależy od tego, czy mi się uda uniknąć, lub czy się z nim spotkam. Szuka mię i jeszcze inny, którego nazwiska nie znałam. Jest to szef sekcji policji politycznej, świeżo ustanowionej, przyjaciel Szamuely'ego. Zowie się Otto Corwin, lecz prawdziwe nazwisko jego Klein. Jest to mały, garbaty żydek, niegdyś urzędnik banku. Szukają mię... Myśl ta jest mi męczarnią. Potworna dłoń wyciąga się ku mnie poomacku i chce mię porwać... Nie mogę pozostać tu dłużej. Przeczucie, męczące mię do-

tąd, staje się wyraźniejsze od czasu rozmowy mej z Karolem Kisse. Wierny przyjaciel. Był tak blady. Mówił pocichu, nie patrząc na mnie.

Gdy powóz Karola Kissa stanął u bramy z kolumnami, Lenke Kallay zawołała doń zdaleka:

— Czy przywozicie dobre wieści?

— Zaczekajcie aż będziemy sami.

Gdy zaś nikt nie mógł go usłyszeć, wypowiedział wieść, którą przywiózł.

Pamiętam, że trzęsła głową i że się sama dziwiła temu ruchowi. Badano moją matkę. Ośmiu zbrojnych, czerwonych żołnierzy otoczyło dom jej w Huvosvölgy. Jednocześnie badała policja każdego z domowników osobno. Trwało to dwie godziny. Grozili, mówiąc, że niema już potrzeby się zapierać, trafili już na mój ślad, wiedzieli, gdzie byłam.

Matka pokazała kartkę, którą pisałam ostatniego wieczoru. Powiedziała, że listek ów przyszedł z Transdanubii. Nic więcej o mnie nie wiedziała. Zdawała się tak spokojną, mówiąc to wszystko, patrzyła na pytających z taką wyższością, iż nie śmieli już mówić do niej „towarzyszko”. Pozdejmowali kapelusze i mówili z odkrytą głową. Po ich odejściu, siostra moja Marja zastała matkę w jej pokoju skuloną w kącie kanapy i płaczącą. Na stole leżał rozkaz aresztowania mnie. — Nie mogę patrzeć na to — rzekła — sprzątnij go, żebym tego nie widziała.

Piers podniosła mi się łkaniem bez łez. Nikt nie spostrzegł tego, po twarzach ich widziałam, iż uważają zachowanie się moje za naturalne.

Badano również braci moich i siostry: Verę, która tyle pracowała ze mną w naszym Stowarzyszeniu antyrewolucyjnym, i Gezę również. Wezwani byli do biura policji. Aresztowano Karola Kissa. Stawiano go przed potwornym żydem, imieniem Jukasz, czyli Goldstein, szefem grupy agentów bezpieczeństwa. Inni byli warcaci jego. Wszędzie brud, zamieszanie, nieporządek i sami żydzi. „Sprawiali mi wstręt — mówił Karol — i korzystając z chwili nieuwagi straży, uciekłem”. I śmiał się, mówiąc to, śmiechem jasnym i donośnym, jak figlujące dziecko. Śmiałam się również, a jednak bolało mię serce, bolało okropnie. Myślałam: „A gdyby zamiast mnie, aresztowano matkę moją lub kogo innego?” Pokój zakręcił mi się w oczach i zawołałam: „Wracam do domu, oddam się”.

Przyjaciele moi zaprotestowali. Powiadali, że powrót byłby szaleństwem i że nikogo nie umęczą za mnie. „Sprowadzę nieszczęście i na ten dom...” Szukałam słów, by ich przeprosić. Tymczasem inni układali plany mojej ucieczki. Twierdzono, że rodzina ma pragnie, bym wyjechała zagranicę. „Przez Balassagyarmat”. Wyraz ten wpadł mi w ucho. Elżbieta Kallay rzekła, że tak będzie dobrze. „Aladar Huszar pomoże ci napewno przebyć rzekę Ipoly”.

Lenke Kallay zaznaczyła, iż należy ukryć cel mej podróży przed służbą. Pojechałabym więc w stronę Aszad, jakby wracając do Pesztu, stamtąd zawrócę do Balassagyarmat. Uczułam wstręt niewypowiedziany. Stacja Aszad, czerwony sztandar, tłusty komisarz polityczny, skrzypek i „Międzynarodówka”.

Oparłam na chwilę czoło o szybę. Była gładka i chłodna. W braku czego innego, działa szyba okienna równie dobroczynnie na rozpalone czoło, jak zimna dłoń.

Spojrzałam na zegar. Stał. Zapomniałam nakręcić go z wieczora. Powóz przejeżdżał ogrodem, tam, od strony pawilonu gościnnego. Unosił Karola Kiss na dworzec. Jutro, o tej samej godzinie uniesie mię również. Odjadę sama. Nie zgodziłam się na towarzystwo. Nie wolno mi dzielić nieszczęścia mego z innymi.

VIII. Ucieczka.

15 — 16 kwietnia.

Ostatni dzień w Berczel. Młody Jerzy Kalay pojechał po barona Jeszenszky, od którego oczekiwaliśmy dobrej rady.

Gdy się baron dowiedział o wszystkim, ujrzałam w oczach jego dobre, ludzkie współczucie. Dał mi list polecający do byłego podprefekta Aszad i zabrał do siebie notatki moje, pisane z dnia na dzień. „Schowam je do rury kominowej — rzekł. — Nie będą ich tam szukali...”

Za ogrodem, wzgórzami przechodził pociąg Aszadski, jak dymiąca zabawka. Dostrzegłam wówczas, że pociąg ten panował dzień cały nad memi myślami. „Teraz już przeszedł. Policja nie przybyła jeszcze. Jutro zaś już mię nie znajdą”.

— Powóz powinien być już wrócić ze stacji — zauważyła Lenke.

Automobil zatrafił na drodze. Pani Benjaminowa Kallay podniosła głowę z nad haftu: „Miałam zły sen tej nocy. Śniło mi się, że duże auto zatrzymało się przed domem i że wyszli zeń agenci policyjni“. Automobil ominął już ogród, lecz myśl gorzka pozostała z nami. Miałam odtąd jedną tylko myśl: by czas przeszedł jak najprędzej. Czemużem już nie odjechała, by nie sprawić bólu tym, co byli dobrzy dla mnie? Wyjąkałam parę słów w tym sensie, żegnając się: „Dziękuję i proszę o przebaczenie“. Henryka Apor dała mi swoje zapalniczki. Miała ich parę, — był to skarb, oddawna już bowiem brakowało zapalniczek w domu. Elżbieta odprowadziła mnie do mego pokoju. Potem zostałam sama.

Nie wiedziałam wcale dotąd, jak bardzo jest się samotnym na świecie, każdy jest indywidualnie samotny, zupełnie samotny. Dusza moja pełną była żałobnych przepowiedni, myślałam o tych, czyją śmierć widziałam. Zaczynałam rozumieć doskonale ludzi, co muszą uregulować wszystko ze śmiercią. Próżno trzymamy ich za ręce, poprawiamy poduszki, czuwamy nad nimi. Nikt nie wziął mnie za rękę i nikt również czuwać nie będzie nade mną.

Deszcz padał, jakby niewidzialna litość pokrywała szyby łzami. Drobne kropelki szemrały w ciemności. Tak samo padał deszcz w tę noc marcową, gdym odjechać musiała z domu, a na ulicach krzyczano: „Niech żyje dyktatura proletariatu!“. Znowu deszcz, wygnanie, opuszczenie, a przede mną świat mroczny i złośliwy. Zamknęłam oczy. Gdybym uciec mogła od siebie samej!

Musiałam zapewne spać parę minut snem niespokojnym i gorączkowym. Potem, jakby mię kto dotknął, zerwałam się, ubrałam z szalonym pośpiechem przy blasku świecy. Na dworze było jeszcze ciemno. Drzwi moje otworzyły się pocichu. Elżbieta Kallay stanęła na progu w półcieniu. Przyszła pożegnać się ze mną. Sprawilo mi to przyjemność. Ścisnęłyśmy się za ręce: „Żegnaj, Bóg z Tobą!” Otworzyła się duża brama zamkowa, mokry chłód uderzył mię w twarz bezlitośnie. Cofnęłam się. Przede mną była noc, jak mokra, czarna ściana. Miałam się rzucić ku tej ścianie. Czułam przez chwilę, że ktoś patrzy na mnie z za mych pleców. Wrażenie to minęło. Brama zamknęła się z hałasem, zdawało mi się, że się tak zamykają za mną wszystkie bramy świata, a ja zostaję nazewnątrz bez ojczyzny, bez domu, błędna i żebrząca.

Zagłębiałam się coraz bardziej w mokrą i zimną ścianę nocy. Przeszłam przez ogród, kierując się ku stajni. Powóz czekał. Błoto oblepiało się dokoła kół. Deszcz lał, przemoczył suknię i zwilżył mi kolana. Nad mokrą drogą światło. Ze stacji Galgaguta zabrał mię mały, chłodny pociąg o wschodzie słońca. Możem zasnąć. Pamiętam ostatnie większe wstrząśnienie, Aszad... Co za wspomnienie! Na platformie w kałużach pełno brudu. Na ścianie jakiegoś wagonu widać było wypisane nawozem: „Śmierć burzujom!”. Stacja była jeszcze brudniejszą, niż uprzednio. Pomimo wczesnej godziny, zebrane grupy delegacji z czerwonym sztandarem oczekiwały. Ludzie senni, drzemią-

cy. Przy wyjściu jeden z nich powiedział, iż będzie zebranie poborowe. Spostrzegłam wówczas, że mi ktoś ukradł zapasy żywności, wzięte z Berozetu. Mniejsza o to. Już torba moja przeszła rewizję. Udałam się w stronę miasta. Nad aresztem wisiał czerwony sztandar, jak ochłap mokrego mięsa. A ileż tam było jeszcze sztandarów!... Wszędzie dziwnie drukowane duże ogłoszenia. Wiersze zwijały się w nich, jak poplątane kiszki. Gdym się bliżej przyjrzała owym kiszkom, rozróżniłam strasznych żołnierzy, olbrzymie kobiety ciężarne, podobne bestjom, trupie głowy, okrwawionych robotników, nagich aż do pasa: „Wstępujcie do czerwonej armji!...” „Precz z alkoholem!...” „Do broni, proletarjusz!”. Wobec zmęczenia, wszystko zdawało mi się straszne. Powyginane i mokre drzewa przydrożne stały, jak szubienice, oczekujące wisielców. Pośrodku rynku malowana na czerwono, trybuna pod niebem ołowianem, wydawała się rusztowaniem. Domy wyglądały złośliwie i krzywiły się. Na ulicach leżało błoto grubymi warstwami. Czarna i wstrętna rzeka, którą tylko ściany utrzymywały w łożysku. Niechby się jeden dom zawalił, a błoto rozlałoby się przez ów wyłom, po kraju całym. I tu mieszkają ludzie! Wśród potwornych ogłoszeń włóczą swe zabłocone nogi. Mieszkają w tem czarniawem bagnie. Niema buntu w mieście, ani poza miastem. Spokój uduszenia. W powozie siedzi żyd po miejsku ubrany, w sportowej czapeczce, każe zatrzymać konie. Na dany znak biegną ku niemu dwaj robotnicy. Pokazuje coś w kierunku rynku,

rozporządza się. Ludzie słuchają posłusznie. Pomyślałam: „Bolszewizm jest zorganizowaną zgnilizną...“, lecz myśl moja zatrzymała się. Człowiek w czapce patrzył na mnie. W chwili, gdy spojrzał na mnie, uczułam ból w twarzy. Odwrócił się raz jeszcze, jakby mnie znał. Zdało mi się też, że już widziałam tę miękką twarz, te grube, spuchnięte wargi, duże miękkie uszy. Może ta rozlana twarz pochylała się kiedy ku mnie z poza kratki okienka którego budapeszteńskiego banku? Tak był miękki, tłusty i ciemny, jakby ulepiony z błota. Zniknął wreszcie. Przed jednym z domów stał tłum czerwonych żołnierzy. Na głowach mieli płaskie czapeczki z czerwoną wstążką. Bluzy rosyjskiego kroju ozdobione były czerwonym galonem. Widok niepokojący, dziwny. To już nie żołnierze węgierscy, to wrogowie, zbrojni słudzy obcej potęgi, straszne widmo naszej rozproszonej armji.

Armja czerwona... Honwedzi, Węgrzy, madjarscy husarze, dlatego więc was wypędzono?

W ten sposób ujrzałam po raz pierwszy czerwoną gwardję Sowietów.

Rozkazy i dekrety pokrywały mury. Brama była otwarta. Na obszernem podwórzu ustawione mitraljezy. Trochę dalej kobieta jakaś, stojąc na chodniku, rozmawiała z kimś przez otwarte okno. Niekiedy rzucała poza siebie spojrzenie nieufne. Usłyszałam jej westchnienie. Dzisiaj nie należy się obawiać tych, co się nieufnie oglądają poza siebie i wzdychają. Zaczepiłam tę kobietę.

— Podprefekt Sarkany?

— Oto wejście do niego.

Kobieta przestraszyła się nagle i zemknęła. Otworzyłam drzwi niskiego domku.

— Nie, niema podprefekta, wyjechał.

Zdawało się, że mi się próg nagle z pod nóg usuwał. Co czynić? Prosiłam, by mi pozwolono wejść, byłam zmęczona, przybyłam zdaleka. Próżna prośba.

— Przynoszę zlecenie — rzekłam.

Przyjęto mię. Był wczesny ranek. Musiałam czekać długo. Wyszła wreszcie żona podprefekta. Czytając list barona Jeszenszky, zdawała się coraz bardziej niespokojną.

— A więc?... to dlatego... Dzisiaj rano czerwoni szukali tu jakiejś pani i pana.

Pomyślałam o Karolu Kiss. Czy możliwe, by szukano już nas oboje?

— Nie może pani tu zostać — rzekła pani Sarkany. — Dom jest śledzony. Dzisiaj przybędzie z Pesztu Bakanyi, by przemawiać na rynku. Będą z nim dziennikarze. Umieszczają ich tutaj, a oni zapewne poznają panią.

Stawała się coraz bledszą.

— Nie, nie może pani tu pozostać.

Poradziła mi jechać dalej w stronę Hatvanu. Instynkt życiowy zbuntował się we mnie i dziwiłam się sama, słysząc swą suchą odpowiedź:

— Jest to rzucenie się w paszczę wilka. Poco posyłać mię tak blisko Pesztu, w wagonie mogliby poznać mię najłatwiej.

— Tutaj nie jest pani bezpieczną ani sekundy.

Przyszła mi nagle myśl. Gdybym mogła do-

stać powóz, pojechałabym do Iklad do hrabiny Raday.

Pani Sarkany skinęła głową potakująco i wyszła pośpiesznie. Ile czasu przeszło — nie wiem. Wróciła wreszcie, mówiąc:

— Niech się pani przygotuje, będzie powóz.

Było mi strasznie zimno. Poprosiłam trochę herbaty, potem zawahałam się. Nie wiedziałam, jak się wyrazić. Chciałabym mieć trochę zapalek. Dała mi wszystko z wielkim pośpiechem. Prędko!... prędko!... Ktoś nagle otworzył drzwi. W progu ukazała się starsza pani. Twarz jej była ołowiano-szara, trzymała się obu rękami za głowę.

— Zapóźno!

Czerwoni zabrali powóz!

Wyszłam jednak. Trzech żołnierzy stało przy wozie. Dałam pieniądze jednemu z nich. Obejrzał się ukradkiem, czy inni nie widzieli. Prosiłam ich o ustąpienie wozu. Jechałam w sąsiedztwo. Wóz potrzebny mi na pół godziny, potem odeślę. Gdy trzej ludzie rozprawiali, skoczyłam szybko do wozu, woźnica zaciął konie, ja zaś zawołałam: „Na stację po bagaże”.

Żołnierze ryknęli jakieś wymyślenia, zagłuszone turkotem kół. Na wózku były ślady nawozu. Grubsze kawałki podskakiwały po desce wewnętrznej, mocno dziurawej. Przez dziurę widziałam drogę, uciekającą w kierunku przeciwnym. Drżałam. Raz jeszcze przebyć musiałam to miejsce straszne, jak śmierć—całe miasto. Na dworcu wzięłam torbę. „Prędko, woźnico, dalej!” Znowu ukazał się człowiek w czapeczce sportowej. Prędko! Woźnica obró-

cił się ku mnie. Zdawałoby się, że mię pojał swym chłopskim rozumem. Puścił cugle i wózek potoczył się, kiwając się po morzu błota. Człowiek o twarzy nalanej jechał za mną, byliśmy już w poprzecznej ulicy, domy i małe zamknięte sklepiki migały szybko. Zdziwione twarze ukazywały się w oknach. Dziwnie wyglądała dama w wózku od nawozu. Naprzeciw nas jechały auta. Obecnie widywano w samochodach tylko żydów. Prawdopodobnie są to agitatorzy z Budapesztu. Instynktownie zakryłam twarz chustką. Domy stawały się coraz rzadsze. Minęliśmy przy dużej drodze stary zamek barakowy. Piękna jego sylwetka ukazała się wśród drzew parku na szarem tle nieba. Wyjątkowe piękno wśród błotnistej przestrzeni.

— Ta, co tu mieszkała, odebrała sobie życie — szepnął woźnica, wskazując zamek batem, potem popędził konie.

Wstrząśnienia zsuwały deskę, położoną wpoprzek, jako siedzenie. Trzymałam się krawędzi wózka i pochyliłam się naprzód.

— Któż tu mieszkał?

Baronostwo Podmeniczky urządzili tu dobrotliwie pensjonat dla małych panienek.

Zachęcałam człowieka do rozmowy.

— Wie pani — rzekł, ważąc słowa — gdy nastał nowy porządek, przyszedł jeden z „towarzyszy”. Miał około piętnastu lat i był żydem. Do licha. Jak on „deklamował” o dzieciach na rynku...

Zamilkł. Nalegałam, by skończył.

— Wstyd mi — rzekł — lecz niech mi pani

wybaczy. Towarzysz tłumaczył głośno na placu — ten psi syn bez sierści — skąd się dzieci biorą. Potem mówił, iż nie należy słuchać rodziców. Potem, iż niema nic złego, jeśli dziewczyna upadnie. Tylko klechy powiadają, że to grzech. Odtąd niema już bękartów, i Państwo opiekować się będzie dziećmi.

Odrzucił kapelusz na tył głowy i splunął.

— Do licha. Ani Boga, ani honoru! Tutaj mówił tożsamo, co i na rynku. Zachęcał nawet panienki, by się „kochały“ bez ceremonji z chłopcami. Pokazywał im obrazki, by wiedziały, jak to należy robić. Przełożona płakała i łamała ręce. Wreszcie odebrała sobie życie.

Wózek się zatrząsał tak, jakby się we mnie również coś wstrząsało. Przez dziurę w zgniłej desce ujrzałam drogę. Ziemia uciekała w przeciwną stronę i uciekała szybko. Już nie było miasta dokoła. Miejsce śmiertelnego niebezpieczeństwa znikło. Deszcz wciąż padał, lecz cóż znaczył deszcz! Wolny wiatr dał polem, a spotykani ludzie, woźnice, chłopci, inni byli, niż mieszkańcy Aszad. Ukazała się wioska, dom z podwórzem, kwitnący sad. I kład. Wóz skręcił w podwórze. Na progu sieni dziewczyna jakaś rzuciła się ku mnie. „Niema ich w domu! Odkąd zabrano hrabiów do Aszad, nie dają im tu wrócić“.

Było mi tak bardzo zimno i takem się czuła zmęczona. Możebym mogła pozostać tu chwilę? Tylko do pociągu Ballassagyarmat.

— Niech pani tu nie zostaje — rzekła przeżona dziewczyna. — Zaraz tu będą komuni-

ści. Idą z fabryki Lloyd w Aszad, by rekwirować.

Tak, to bezsensowne... Przypomniał mi się zgrzyt bramy w Berezal, zatraskającej się za mną o świcie. Wszystkie drzwi się wówczas zamknęły, wszystkie...

— Jedźmy — rzekłam woźnicy.

Wtem dziewczyna wpadła na pomysł.

— Niech pani idzie do domku dróżnika. Tam pani będzie mogła doczekać się pociągu. Stary Nagy jest porządnym człowiekiem, pozwoli pani wejść do domu. — Obiecała nawet przynieść mi śniadanie po odejściu komunistów.

Dom dróżnika był po drugiej stronie drogi przy plancie, ukryty między dużymi, starymi drzewami. Kurnik, sęgi drzewa, mały ogródek, oryginalne grządki kwiatowe... Na spotkanie moje wyszedł wysoki, szpakowaty człowiek w pasiastej bluzie kolejowca. Dotknął mundurowej czapki i zapytał, czego sobie życzę.

— Kantor zamknięty — rzekł — pociąg idzie dopiero o piątej.

Odprawi mię również — pomyślałam i uczułam się strasznie zmęczoną, przemokniętą i głodną. Mówiłam powoli, by zyskać na czasie i przebyć chwilę pod tym dachem. Człowiek nie odprawił mię. Wzruszył ramionami.

— Może pani tu zostać, jeśli o to chodzi. Lecz, naprawdę, nie będzie tu bardzo wygodnie.

Byłabym się śmiała z radości, śmiała głośno. Dobroć starego dróżnika wydała mi się nadzwyczajną. Mogę tu zostać i jeszcze się tłumaczyć. Mgła zaszła mi na oczy. Wygodnie? Wy-

godnie?... Nie wie, jaki daje królewski przepych! Kącik, gdzieby się ukryć można i nie być widzianą, kąć, skąd nikt nie usuwa, — zabezpieczona od deszczu ława, na której usiąść można...

Nadeszła żona! Drobna kobiecina o dobrej twarzy, postarzałej przed czasem. Zaprosiła mnie do pokoju. Wytarła krzesło fartuchem. Usłyszałam, jak rąbała drzewo w kuchni. Gdy się ogień trochę rozpałił, otworzyła drzwi i wpuściła ciepło do pokoju.

Ciepło ogarniało mnie powoli, co mnie także wzruszyło. Zrazu nie myślałam o niczem. Było mi dobrze. Stopniowo dostrzegać zaczęłam otaczające mnie przedmioty. Pod niskim pułapem, nad łóżkiem, wysokim, jak wieża, wisiał oprawny w ładne ramki, werset z pisma świętego. Odczytywałam go wielokrotnie w czasie tych długich godzin, a jednak nie mogę go sobie przypomnieć. Kolorowe obrazki, portrety rodzinne pokrywały ściany. Kobiety, siedzące sztywnie, mężczyźni z prostym, dobrze nagumowanym wąsem. Na komodzie, o trzech szufladach, drewniany, rzeźbiony koszyczek. Wszystko miało ciepłą, brunatną barwę. Zawieszona w oknie, czerwona chustka zastępowała firankę.

Gdym tak siedziała na twardym, drewnianym krześle, domek ten z pokoikiem i biednemi, starymi sprzętami, sprawiał mi wrażenie rzeczy już znanej... Tak, byłam tu kiedyś. Lecz wówczas domek ten stał w innej okolicy. Gdzieś daleko w Korst, nad spalonymi skałami, wśród dzikich gór. Byłam wówczas młoda.

Pisałam pierwszą mą powieść: „W kraju kamieni”. Dom, któremu ofiarowałam pierwociny mej twórczości, znajdował się pomiędzy dwoma tunelami. Przyszła mi myśl, że wszystko to nie jest dziełem przypadku, i że małe domki umieją odplacać się miłością tym, którzy je kochali.

Spojrzenie moje zatrzymało się. Nie dostrzegłam była jeszcze kalendarza, wiszącego na białej ścianie w czerwonym półmroku: 16 kwiecień 1919. Widok ten przywołał mię do rzeczywistości. Od strony Aszad dużą drogą jechały powozy. W kradzionych landach siedzieli ludzie o minach podejrzanych, żydzi w płaszczach futrzanych. Wszyscy wjeżdżali w podwórze zamku Roday. Śledziłam z poza czerwonej firanki. Wchodzili do domu z krzykiem. Już wszystko należało do nich... A okna, wychodzące na ogród zamkowy, patrzyły zdumione, jakby nie rozumiejąc, co się dzieje wewnątrz. Godziny upływały. Komuniści naładowali wozy wszelką zdobyczą, zabraną z zamku Raday'ów, wywieźli, co im się zachciało.

Siedziałam spokojnie w pokoju i widziałam wszystko. Gdym usłyszała hałas, cofałam się, potem patrzyłam znowu. Mogło być południe, gdy przybyła drezyna od strony Aszad. Kilka głosów wydawało rozkazy w małym kantorze. Dokoła domu rozlegały się kroki. Wstrzymałam oddech. Ludzie odeszli. Była znowu cisza. W kuchni przygotowywano śniadanie, czułam zapach gotujących się w wodzie kartofli. Byłam bardzo głodna. Kobieta podała mi je, ale było ich tak mało na zielonym, glinianym pół-

misku. „Dziękuję, jeszcze za wcześniej”. Potem służąca z zamku dała mi znać, że komuniści wszystko pozjadali, pozabierali, co znaleźli w kuchni i w oficynie. Nie mogła przysłać mi obiadu, prosiła tylko, bym zapisała swe nazwisko, żeby je mogła powiedzieć swej pani, gdyby hrabina wróciła. Gospodyni wyrwała w tym celu kartkę z kalendarza. Przypomniało mi się wówczas fałszywe nazwisko, które mi wybrała Elżbieta Kallay: Elżbieta Földwary... Powtarzałam je sobie. Jakie to dziwne, teraz tak mię nazywać będą, to będzie moje nazwisko. Jednak nie napisałam go. Kobieta nie zwracała na mnie uwagi. Chodziła po domu i pracowała, jak mrówka. Uporządkowała kuchnię, zdjęła czerwoną firankę i zaczęła myć okna.

Deszcz przestał. Lodowaty wiatr rozpedzał chmury. Gwizdał, wył, a w domku dzwięczały wciąż cieniutko dzwonki sygnałowe. Dróżnik zwinął w rękę małą chorągiewkę, czarną od sadzy, i rozmawiał z żoną o komunistach: „Jeśli tak dalej potrwa, zabiorą cały zamek”. Mówił też ze mną. Opowiadał, jak hrabia Roday, aresztowany przez ludzi z Aszad, musiał myć na ulicy automobil żydowski. „Ale dał im nauczkę. Zawinał rękawy koszuli, kazał podejść tym łotrom: „Patrzcie — rzekł do nich — i uczcie się, jak się porządnie czyści maszynę”. Kolejowiec śmiał się pocichu. Cieszył się swą opowieścią. „Potem ludzie z Iklad uzbroidli się. Dwie sąsiednie wioski połączyły się z nimi. Chcieli przywieźć napowrót swych panów hrabiów w sześć koni, gdyż każda wieś postawiła

za warunek zaprzęzenie parę koni do powozu hrabskiego".

Mężczyzna wyszedł. Czapka jego poruszała się na dworze przed oknem. Podnosił w rękę chorągiewkę sygnałową.

Ciężki pociąg towarowy wtoczył się, skrzypiąc na osiach. Jechali w nim czerwoni żołnierze, rzucając w przejeździe okrzyki. Na czarnych wozach nabazgrane było kredą: „Niech żyje Bela Kun! Niech żyje czerwona armja!”.

— Kanalje. Przewożą broń — mrucał mężczyzna, wracając. — Lecz Dyrektorjat w Aszad daleko straszniejszy. Sami okrutni młodzi żydzi. Żyje się w strachu. Niema spokoju nawet w nocy. W fabrykach lotniczych zatrzymano w czasie wojny wielu czeskich żołnierzy-dezertarów, są to teraz najwięksi bohaterowie komunizmu. Oni to najwięcej kradną.

Patrzył przed siebie z goryczą i ciągnął głosem podrażnionym:

— Zmieni się to kiedyś. Próżno opłacają nas swemi bezwartościowemi asygnatami. Nie przekupią nas. My, kolejarze, mamy też coś do powiedzenia.

Telefon zadzwieczał w kantorze. Sygnał przeleciał w przestrzeni. Aszad przemawiał. Mój pociąg... Odrętwienie nóg minęło mi nagle. Musiałam wyjść z domku, zdawało mi się, iż ktoś zrywał zasłonę z mej twarzy, tak bolało mię być bez schronienia.

Pociąg zbliżał się powoli. Ludzie siedzieli na dachach wagonów, inni wisieli, niby kiście na stopniach i buforach. Chciałam wejść. Odepchnięto mię. Szłam dalej, lecz drzwiczki się

nie otwierały. Przytrzymywano je zewnątrz, gdyż pociąg był napchany. Biegłam jeszcze, mówiąc sobie: „Mniejsza — jak, mniejsza — gdzie”. Jakaś pięść ustąpiła przed moją dłońią. Pociąg odchodził. Co się stanie ze mną, jeśli zostanę tutaj?... Dróżnik dopomógł mi. Weszłam wreszcie, lecz skrzynie i kufry barykadowały drzwi. Ktoś popchnął mię naprzód, uczułam się podniesioną do góry. Torba moja padła mi na kark, potem nie mogłam już się poruszyć, i pociąg mię uniósł.

Wagon, do którego wsiadłam, był starym, wysłużonym wozem. Przez potłuczone szyby dał wiatr. Ludzie cisnęli się w korytarzu. Kobiety, żołnierze, jeden oficer, brudny jakiś grubas. Wciśnięta pomiędzy nich, trzymałam się na jednej nodze. Więcej miejsca nie było. Ciepłe sąsiedztwo, odór ludzki utrzymywały mię na stojąco i wydawały mi się nawet w tej chwili szczęściem. Bilet musiałam wziąć w pociągu. Spytano mię o świadectwo z syndykatu... Wypędzą mię natychmiast z wagonu — pomyślałam. Oficer, stojący obok mnie, powiedział coś konduktorowi, pokazał mu dokument: „Proszę wydać bilet na dwie osoby”. Konduktor odszedł, wrócił. Oficer włożył w kieszeń bilet na dwie osoby, ja zaś opłacałam koszt. Jechał on również do Ballassagyarmat. Nagle stanęłam na obie nogi, wywnioskowałam, że się tłok zmniejszył. Na małych stacjach wychodzili podróżni, nikt nie wsiadał. Można było patrzeć w szybę korytarza sąsiedniego wagonu. Jakiś młody człowiek w futrzanym paltocie palił cygaro. Miał miękki kapelusz i twarz czer-

woną z zimna. Przyglądałam się machinalnie temu człowiekowi. Nagle doznałam bez żadnej przyczyny bardzo przykrego wrażenia... Wolałabym była nie widzieć go, a jednak musiałam patrzeć przez rodzaj hipnozy. Zaczynałam niepokoić się coraz bardziej. Irytowałam się sama na siebie. Halucynacja!... A jednak, jeśli ten człowiek mię poszukuje? Dojechalśmy do stacji Gagaguta. Wyjechałam z niej przed dwunastu godzinami o świcie, a ileż było odtąd udręki!... Otworzyły się szklane drzwi sąsiedniego wagonu. Człowiek w futrze zeskoczył na peron i skierował się ku stacji. Szukał mnie. Byłam tego tak pewna, jakby mi kto o tem powiedział. Pomyślałam: „Pojedzie do Berczela i nie znajdzie mię”. Opanowała mię bezgraniczna radość. Wystarczyłoby mu odwrócić się, by mię złapać. Żegnaj, towarzyszu. Szczęśliwej podróży!... Tysiąc szalonych słów cisnęło mi się na usta, byłabym chciała pokazać mu język.

Około mnie tłoczyli się podróżni. Kilku wysiadło. Drzwi pozostawały otwarte, a wpadający przez nie chłód przywrócił mi przytomność. Co za szaleństwo!... Byłam zwrócona plecami do drzwi. Daleko wiła się ścieżka wśród ornych pól i łąk zielonych. Ścieżką tą szła dziewczynka. Dokoła jej głowy zwisały ponsowe wstążki. Wiatr dmuchał mi w oczy. Odwróciłam się. Odczułam wewnętrzny cios w piersi. Człowiek w krótkim, futrzanym paltocie stał przed otwartymi drzwiami i patrzył na mnie, marszcząc brwi. Podpierał podbródek palcem wielkim i wskazującym, pochylając głowę, jakby się czegoś dopatrzeć starał w mej twarzy. Odczu-

łam powtórny cios w piersi i wszelka kropla krwi odpłynęła z mej twarzy. Zbladłam tak, że się źle poczułam. Bezwiednie odwróciłam się ku oknu. Nie widziałam jednak krajobrazu. Barwy mieszały mi się w oczach. Jak długo to trwało? Wiem tylko, że czułam pustkę w głowie. Ciężkie chwile padały w pustkę, miałam wrażenie zapadania się wraz z niemi. Boże! jak długo będzie to jeszcze trwało? Niech mię pochwyci za ramię, jeśli chce, niech mię aresztuje, niech działa, lecz niech się skróci ta męczarnia!

Usiłowałam się uspokoić. Pochlebiałam sobie, błagałam siebie choćby o udanie odwagi. Ponieważ nic w danej chwili nie mogę, niech przynajmniej nędznicy ci nie widzą, jak dalece się boję. Prostowałam się, jak mogłam, i krzywiłam usta do uśmiechu.

Pociąg poszedł dalej, od wstrząśnienia drzwi się zatrzasnęły. Czy to możliwe? Przez chwilę czułam we wszystkich członkach bezgraniczną przyjemność oswobodzenia. Odetchnęłam głęboko. Gderałam i pocieszałam siebie samą. Biedna warjatko! Skąd ci przychodzą te myśli? Lecz potem wszystko zdawało się chwiać dokoła. Człowiek w futrzanym paltocie siedział przy mnie na małej walizce. Siedział z podniesionymi kolanami, jak zły bożek. Ogarnął mię strach — strach, jakiegom nigdy nie znała. Podbródek mi drżał. Pomimo zimna, wystąpiły mi na skroniach krople potu. A jednak trzymałam głowę prosto i próbowałam się uśmiechać.

W myśli przelatowały z szaloną szybkością przypuszczenia. Jeżeli mię zaaresztują, nikt się o mym losie nie dowie, a ten jednooki, któremu

mię oddano, wyśle mię spokojnie na tamten świat. Matka moja nie wie, że jestem w drodze. Ani Kallay'owie, których porzuciłam, ani Huszarowie, którzy mię nie oczekują, nikt wie-dzieć nie będzie, że nie dojechałam... Można donieść misjom Ententy o więźniach w Buda-peszczie, lecz, jeśli ja będę zamknięta, nikt mię szukać nie będzie — bo i poco?...

Człowiek siedzący wciąż na walizce, skręcił papierosa, wyrzucił dym i co pewien czas podnosił oczy na mnie. Oczu tych nigdy nie zapomnę.

W Kosoed weszli nowi podróżni. Było nas bardzo dużo w korytarzu. Dwóch mężczyzn z czerwonymi oznakami na wyłogach płaszców wypowiadali głośno zachwyt swój nad rewolu-cją: „Wreszcie mamy ją”. Widać było, że strach zmuszał ich do tego gadania. Człowiek na wa-lizce kiwał potakująco głową. Pogardzałam ty-mi ludźmi, madjarami, co się poddali obcym. Wszystko to było brudne i podłe. Uczułam po-ryw buntowniczej dumy. Dać się wziąć takim ludziom nędznie, nie radząc sobie, nie próbując ucieczki, czekać swego losu, jak nieszczęśnica, nie śmiejąca się poruszyć... Bezwładność moja wydała mi się nieznośnym wstydem. Złapałam torbę i przesunęłam się przez tłum ku drzwiom sąsiedniego przedziału. Wszędzie było pełno, ludzie stali nawet pomiędzy ławkami. Obok mnie człowiek jakiś siedział wciśnięty w ławkę. Twarzy jego wyraźnie nie pamiętam. Wąsy miał jasne i rzadkie, oczy barwy błękitnawej wody miały wyraz niezdecydowany. Pisał coś w notatniku, wrywał napisaną kartkę i pisał

dalej. Nie zwracałam na niego uwagi. Mężczyzna w krótkim paltocie, siedzący w korytarzu, podnosił się od czasu do czasu i zaglądał do wagonu, jakby mię pilnował. Zaczekałam chwilkę. Gdy usiadł ponownie na walizce i nie mógł mię widzieć, zabrałam torbę i poszłam dalej. Nie miałam planu. Chciałam tylko iść, uciec, działać... Kto wie, a nuż się uda? Może ucieknę na jednej ze stacji, a może wyskoczę z wagonu? Gdym się oddalała od piszącego blondyna, wsunął coś między rękę moją a torbę. Wówczas przypomniałam sobie jego dziwne spojrzenie. Zaczął znowu pisać, potem wyrwał kartkę. Zdawało mi się, że miałam w ręku switek papieru.

Szłam prędko naprzód, poprzez wozy, napełnione ludźmi, nagromadzone walizy i torby. Popychano mię, traktowano po grubjańsku, a każde spojrzenie ludzkie bolało mię, jak zdzieranie skóry na twarzy. Dlaczego wszyscy ci ludzie patrzyli na mnie tak, jakby mię już znali z widzenia? Dlaczego twarz moja nie była taką, jak twarz innych. Ach, gdyby tamta jakaś kobieta użyczyć mi mogła swej nic niemówiącej twarzy, którą się widzi i zaraz zapomina? Potem myśl ta stała mi się wstrętną. Przepychałam się łokciami w dalszym ciągu. Wreszcie nie mogłam iść dalej. Doszłam do końca pociągu — do ostatniego wagonu. Przy stłuczonym oknie było wolne miejsce. Wiatr sypał tam iskrami z lokomotywy, nikt więc go nie chciał. Wcisnęłam się w ten kąć i zakryłam twarz chustką. To mię ochraniało i zasłaniało jednocześnie. Nikt nie zważał na mnie. Rozwinęłam

świsstek, który miałam w ręku. Stały tam skreślone pismem nierównym, pochyłym, następujące słowa: „Szukają panią, fotografie pani są rozesłane, niech pani ucieka. Jeśli panią zaaresztują, zginie pani”.

Czym uczuła wdzięczność w tej chwili, czy bezgraniczny strach? Podarłam starannie kartkę i wyrzuciłam kawałki za okno. Chwile upływały w nieznośnym zmęczeniu. W przedziale siedzieli ludzie, rozmawiali głośno, lecz wszystko to zdawało mi się strasznie dalekie.

Przeszła godzina, czy więcej. Rada byłam, że czas mijał, polubiłam ten kącik. Jednak dmący wiatr uderzał mię w twarz. Twarda ławka uwierała zmęczone mięśnie, a głód pożerał mi wnętrze. Od wczoraj piłam tylko trochę herbaty. Wtem ściemniło się, gęsty dym napełnił wagon. Zaledwie się spostrzegła, minęliśmy tunel. Gdyby mi było przyszło na myśl wcześniej, może?... Nie, skręciłabym była kark. Zatrzymaliśmy się... Pociąg znajdował się w odkrytym polu. Pod plantem był głęboki rów. Tu mogłabym była zejść. Podróżni cisnęli się ku oknom. Ktoś zewnątrz zawołał: „Pociąg nie dojdzie prawdopodobnie do Gyarmatu, Czesi ostrzeliwują stację!” Wsunęłam się głębiej w swój kącik. I znowu stacja. Ujrzałam biegnącego człowieka w futrzanym paltocie. Doszedł do końca budynku stacyjnego, popatrzył w stronę, gdzie pociąg zatrzymał się był w polu. Zdawało mi się, że kiwa głową i klunie. Czy mię szukał. Potem skoczył znowu do wagonu. Noc zapadła. Czekaliśmy długo na jednej ze stacyj.

Palacz jadł kolację w karczmie. Któryś z podróżnych opowiadał, że chodzili po niego, on zaś miał jakoby odpowiedzieć, że się nie śpieszy, bo się kocioł jeszcze nie rozgrzał dostatecznie... Ruszyliśmy w dalszą drogę późno w noc. Padał deszcz. Wśród wilgotnej ciemności zbliżało się ku nam powoli jakieś światło. W mrocznym wagonie ludzie zaczęli się sposobić do wyjścia. „Balassayarmut” wyrzekł jakiś głos. Stałam u drzwi. Pociąg zwolnił biegu, nie doszedł jeszcze do stacji. Otworzyłam nagle drzwi, wyrzuciłam torbę i skoczyłam. Usłyszałam za sobą otwierające się drzwi inne. Pobiegłam ku wyjściu od strony miasta. Nikt mię nie zapytał o bilet, nikt się mną nie interesował. Doszłam do drewnianego parkanu. Tam padał w mrok czarny cień dużego orzecha. Przytuliłam się do drzewa i czekałam, aż wszystko się rozjedzie, wozy i ludzie. Człowiek w futrze ukazał się i odszedł. Na stacji pogaszono lampy. Byłam sama wśród ulewy u stóp orzecha. Minęło. A jednak czułam stale tę obcą wolę szukającą mię w ciemnościach, rękę, co wciąż omackiem sięgała ku mnie. Zatrzymywała się wpobliżu, lecz nie trafiała na mnie. Jeszcze nie teraz, lecz znajdzie mię później... może... Instynktownie, usunęłam się, cofałam się całym ciałem. Ręka opadała blisko mnie. Zawsze chybiała, lecz była wpobliżu. Widziałam znów auto na czatach przed domem na ulicy Kofarego, czerwonych żołnierzy z Aszad, twarz koloru błota i mężczyznę w krótkim futrze. Ręka szukała w sąsiedztwie. Tylko jeden ruch... Wczoraj... jutro, lecz dzisiaj minęła mię, jestem

jeszcze wolna. Dokoła mnie rysowały się wśród nocy fronty domów. Oczy przywykły już do ciemności. Dokąd iść? Szeroka ulica osadzona drzewami, prowadziła ze stacji do miasta. Czy iść tędy? Wskazówki Elżbiety Kallay zmieszały mi się w pamięci. Mijali mię żołnierze i różni ludzie, wreszcie spotkałam małego chłopca. Miałam doń najwięcej zaufania.

— Czy chcesz dopomóc mi nieść torbę?

Chłopak wysiłał się, lecz był za słaby. Nieśliśmy torbę wspólnie. Lecz nie to było najważniejsze. Chciałam wiedzieć, gdzie mieszka Aladar Huszar. Dziecko nie wiedziało tego na pewno, towarzyszyło mi jednak pomimo deszczu. Ogrody, małe wille, kościół, zmoknięte drzewa, piaszczysta droga. Przed jednym z domów stała kobieta. Wskazała nam drogę: „W samym końcu miasta, przedostatni dom”. Serce mi się ścisnęło. Męczyła mię myśl: „Czy ich zastanę?” Potem przyszła druga: „Może wyjechali?” Aladar Huszar miał opinię kontrrewolucjonisty. Ludzie stojący u władzy patrzyli nań krzywo. Żona jego była prezeską Narodowego Związku Kobiet Węgierskich w Nagrad. Socjalistyczno-komunistyczne pisma napadały na nią w zimie.

Chłopiec zatrzymał się przed kratą. Parę stopni, szklane drzwi. Zaledwie oddychałam. Prosić schronienia u tych, co również zagrożeni?! Walczyłam ze sobą wewnątrz i wstydziłam się.

— Oto dzwonek, — rzekł chłopak.

Wahałam się jeszcze...

Kto, będąc prześladowanym, śledzonym nie

zawahał się nigdy przed obcemi drzwiami, kto — ubogi, nie stanął nigdy chłodną nocą przed obcym progiem, wyobrazić nie może, jak strasznie może się ścisnąć serce ludzkie.

Dziecko postawiło torbę na ziemię, zażądało zapłaty i pobiegło. Ostry dźwięk dzwonka przeszył ciszę domu. Już się stało. Byłam niemal przerażona. Wewnątrz może też drżeli oni, myśląc, że czeka ich nieszczęście. W tych czasach ludziom brak oddechu, gdy się u ich drzwi rozlegnie wieczorem dzwonek.

X. W Balassagyarmat.

16 kwietnia, wieczorem.

Z końca długiego korytarza zbliżały się niespokojne kroki. Przerażona służąca spytała, czego żądam: „Proszę powiedzieć, że przyjechała Elżbieta Földvary...” Drzwi się otwarły. Zabłysła smuga światła, a w jej promieniu zbliżył się piękny pies myśliwski o długiej sierści. Za psem szedł Aladar Huszar. Widziałam go raz w życiu, lecz poznałam go natychmiast. Jasna głowa, szerokie ramiona, zarysowywały się wyraźnie w świetle lampy. Przez chwilę patrzył na mnie badawczo.

— Elżbieta Földvary? — rzekł...

Byliśmy w owej chwili sami. Powiedziałam mu pocichu moje nazwisko. Zdawało mi się, iż głowa jego lekko zadrżała.

— Dowiedzieliśmy się wczoraj, że pani uciekła do Szwajcarji.

— Pomóżcie mi przepawić się przez Ipoly...
— Będzie czas! Pomówimy o tem... Proszę
iść prędko.

Wziął moją torbę i jakgdybyśmy byli starymi przyjaciółmi wprowadził mię do domu. Przebyliśmy małą sień. Wzdłuż ściany schody drewniane prowadziły na piętro. Pośrodku stał stół w świetle lampy. Weszliśmy do innego pokoju. Światło odbijało się w szybach dużych szaf biblioteczných, na wschodnich dywanach stały wygodne meble. Na spotkanie moje wyszła młoda, bardzo piękna kobieta. Łuki brwi łączyły się pod białem jej czołem, duże niebieskie oczy ocienione były bardzo długimi rzęsami. Twarz miała zimną, prawie nieruchomą. Serce moje ścisnęło się. Co powie? Nie było w niej ani zdziwienia, ani strachu, chociaż słyszała świeżo, że uciekła zagranicę. Jakby to było rzeczą najnaturalniejszą w świecie, że przybyła w nocy, obca, szpiegowana przez policję. Krzątała się spokojnie.

— Pościelemy tu pani w bibliotece. Nie mamy innego pokoju. Umieszczono na górze czerwonych żołnierzy. Chciano ulokować komunistów w naszych dwóch pokojach, ulokowaliśmy tam naszego byłego furmana.

Oparłam się o bibliotekę. Pokój wirował dookoła mnie. Dano mi jeść. Zrozumiałam ze współczującego spojrzenia Aladara Huszar, że głód, bezsenność, zimno i cierpienie odbiły się na mej twarzy. Suknia wisała na mnie, ręce drżały. Weszły dzieci. Powiedziano im, że jestem kuzynką. Dwie małe dziewczynki i chłopiec. Po-

deszłam do ich łóżka, gdy matka kazała im odmawiać pacierz wieczorny.

Na dworze lał deszcz, a świat pełen był żołnierzy czerwonych i szpiegów. Dzika nienawiść, nędza, brud, strach, upokorzenie. Tutaj w długich białych koszulkach, modliły się dzieci, a nad ich łóżeczkami z siatką zwieszał się ze ściany mały sztandar-zabawka czerwono-białozielony, niby staroświecki obrazek święty.

Elektryczność zgasła. Była godzina jedenasta. Siedzieliśmy jeszcze przy świecy nie mówiąc wiele. Bolało nas wszystkich w równej mierze straszne nieszczęście Węgier, boleść nasza była jednaką, jakby nakazaną nam tem samym prawem.

— Wielu dobrych przyjaciół uciekło tędy — rzekł Aladar Huszar.

— Czy nie mógłby pan dopomóc mi również przy przejściu?

Potrząsnął głową. Ipoly zalała łąki. Mosty były popsute. W danej chwili jest to niemożliwe.

— Nie damy pani stąd odjechać. Jest to tylko kwestją kilku dni. W Szot widziano kolonjalne wojska francuskie. Zajmują one, jak powiadają moi ludzie, most Koraz. Dzisiaj przyszła wieść, że żołnierze angielscy są w Nagykaniza. Mówią o trzydziestu tysiącach ludzi. Francuzi są w Arad. Może wejdą tutaj w nocy. Niech pani zaczeka, aż się rozsypie Republika Sowieców.

Byłam zmęczona, śmiertelnie zmęczona lecz pomimo wyczerpania, słyszałam dokładnie każde jego słowo. Dziwna rzecz, nie odprawiają

mię. Nie chcą, bym odjechała. Będę więc mogła wypocząć trochę. Dziękuję... Dziękuję, mówiłam w duszy, — nie wyrzekłam zaś ani słowa.

Balssagyarmat, 17 kwietnia.

Sądziłam, że dziennik ten już skończony, że go dalej pisać nie będę. Zły los przeszedł blisko mnie, lecz tylko spojrział na mnie i dał mi trochę zwłoki. Teraz jestem tutaj. Na jak długo? Czy trzeba mi będzie iść dalej, czy też będę aresztowana?

Nie jest to koniec mych perygrynacji, pewną jestem. Nie wiem nawet, czy sama postawię kropkę ostateczną na końcowej stronie notatek, czy uczyni to ktoś inny. Tem gorzej. Jeśli zostanie z nich choć mała cząstka, będzie ona jeszcze mogła świadczyć. Wszystkie osypujące się grudki ziemi stanowią cząstkę ruiny i każda z nich ma w sobie wielką tragedję.

Gdym się obudziła dzisiaj zrana, nie zrozumiałam odrazu, gdzie się znajduję. Światło odbijało się w szybach biblioteki. Na dworze grały fujarki. Stąpanie bydła mieszało się z gminną pieśnią starych pasterzy.

Gdzież jestem? Coś ścisnęło mię za serce, wytrysło zeń świadome wspomnienie, byłam bez domu, i dachu, przeznaczona na wygnanie. Patrzyłam przez okno. Małą uliczką przedmieścia przechodziły krowy. Wszystko było inne niż wczoraj. Dom naprzeciwko przeglądał się spokojnie w kałuży. Daleko, po tamtej stronie, była stacja i plac Ratuszowy. Wyobrażałam sobie ten plac nieznanymi: wielki kolumnowy targ,

stara studnia, stary ratusz z wieżą... tak musiało to wyglądać.

W głowie mej dziwacznie drgały nerwy. Co się stało nieświadomie dla mnie w mózgu moim? Miałam wciąż wrażenie, że mię szpiegują. Chciałam się bezprzestannie oglądać...

— Dzień dobry! — zawołały głosy dziecięce w sąsiednim pokoju. Na małej oszklonej wendzie z wyjściem na ogród oczekiwało mię śniadanie. W miejsce dawnych kwietników uprawiano pod rozłożystemi drzewami jarzyny, krzewy, a pod ogrodzeniem widniały znowu drzewa, dachy pokryte gontem, ogrody przedmieścia, topole, wierzby odbijające się w płynnym zwierciadle. Ipoly wylała. Na przeciwległym brzegu wielkiej doliny napełnionej wodami gór wznosiło się wzgórze zajęte przez Czechów. Stali tak od dwóch miesięcy z armatami skierowanemi na miasto.

Mówiliśmy o mych notatkach. Aladar Huszar dał mi papieru i ołówek. Zadzwoniono u drzwi... Ktoby to był o tej niewłaściwej porze? Grzegorz, dawny, wierny zawsze stangret wysunął głowę.

— Oto oni!... Dwaj czerwoni żołnierze. Zaciśnęłam dłonie. Usta pani Huszar pobladyły:

— Może to ciebie szukają? miasto jest pełne policjantów.

Wyszła. Wróciła śmiejąc się.

— Nigdy się tak nie przeraziła. Zapytali: czy tu mieszka towarzysz Huszar? A potem jeden z groźną miną: „Dowiedzieliśmy się, że ma w domu...” bałam się, że cię wymieni. Otóż oni

tylko się dowiedzieli... że mamy w domu bibliotekę.

Piękna biblioteka! Spojrzałam na nią przeciągle. Biblioteka zawierająca całą przeszłość węgierską i całą historję socjalizmu. Wyznałam wielką chęć czytania.

— Pisz raczej, odrzekła mi pani Huszar, gdy czasy te miną, będą ludzie przynajmniej wiedzieli, cośmy ucierpieli.

XI. Między „Czerwonymi“ a „Czechami“.

Balassagyarmat, 18 kwietnia.

Wielki Piątek... U stóp krzyża Chrystusowego, pod czarnem niebem, na czerwonej ziemi ukrzyżowano Węgry pomiędzy narodami. Miasto oczekiwało dzisiaj ataku. Zeszłej zimy, gdy Michał Karolyi otworzył granice i żarłoczni sąsiedzi z łatwością weszli do obezwładnionych miast węgierskich, było Balassagyarmat jedynem z tych, co zbrojnie wypędziło Czechów. Co za okropna zmiana to dzisiejsze oczekiwanie. Zresztą, wszędzie, gdzie są Madjarzy w Sowietkiej republice żydowskich tyranów, wszędzie to samo oczekiwanie. Litościwy Boże! czemu najdumniejszy w świecie naród tak jest głęboko upokorzony? Czemu w kraju tym, niegdyś tak pięknym staje się wszystko czynnikiem wstydu, nawet nadzieja? Czy oczekujemy pomocy od tych, co rzucili na nas zbójów? od tych co nam zabierają tysiącoletni nasz majątek? A jednak...

Na pomoc! Nie zwracamy się do królów, ani kierowników państw, ani do rządów, lecz tylko

do ciebie, Ludzkości. Nie prosimy cię o obronę przed narodami i ludźmi, obroń nas przynajmniej od ludzi przemienionych w dzikie bestje i ich straszliwych wodzów. Ludzkości! Dla wszystkich wybije taka godzina, jeśli bestje te trwać będą i mnożyć się. Na pomoc, Ludzkości! ratuj nas przed Bestją!

19 kwietnia.

Noc minęła. Dopiero o świcie zagwizdały jakieś zbłąkane kule ponad Ipoly, zwierciadło wody marszczy się w miejscu, gdzie kula upadnie, potem się znowu wygładza i wszystko staje się takim, jak wczoraj.

Pisma komunikują nam potworne rozkazy. W przeciągu niespełna trzech tygodni jest to już sześćdziesiąty drugi dekret:

„Rewolucyjny rząd Sowietów zmuszony jest nakazać rewizję spraw kryminalnych, których badanie rozpoczętem było przed ogłoszeniem Republiki Sowietów. Proletariusze, wzywani przed trybunał dawnego rządu wyłącznie w interesie kapitalizmu, zwolnieni będą od wszelkiej kary. Ci zaś, przeciwnie, którzy zawinili przeciw proletarjatowi pracującemu będą surowo karani”.

Rozporządzenie takie niema precedensu w historii ludzkości. Cofa nas ono o kilka stuleci, burząc wszystko, co zbudowała cywilizacja. Daje jednej klasie: proletarjatowi, przywileje na zbrodnię. Podstawą bolszewizmu jest więc nienawiść, w sądach nawet służy on walce klas. Jeżeli proletariusz pokrzywdził „bur-

žuja" — nie może być skazany, wykonał bowiem w ten sposób swoje prawo obrony przeciw tyranji kapitalistycznej. Po uprawnieniu zbrodni zaciera się gorączkowo jej ślady. Pali się stosami dawne akta, ułatwia się zniknięcie dokumentów, obchodzących obecnych władców. Bela Kun sprzeniewierzył pieniądze kasy robotniczej. Akta jego zostały zniszczone i szef węgierskiej Republiki Sowieców zrehabilitował sam siebie popiołami.

Wczoraj powrócił z Budapesztu szef Dyrektorjatu Balassagyarmat: Aladar Huszar słyszał go opowiadającego głośno na ulicy, że mówił z samym Belą Kuna. Pozycja republiki sowieców wzmocniła się bardzo politycznie nazewnątrz i wewnątrz. Bela Kuna głosi: „ma ona takie pokrycie w kosztownościach, perłach, medalach i skarbach artystycznych, iż żaden z rządów burżuazyjnych nie może być z nią porównany... Skarby węgierskie sprzedane będą w Holandji. Rozpoczęto już układy.

...Brzeg przeciwległy i wzgórze milczą. Jeżeli ten spokój trwać będzie długo? Myśl ta męczy mię nieustannie i każe mi zająć się mem rozpaczliwem położeniem. Czy mam prawo przyjmowania gościnności tych ludzi tak dobrych dla mnie. Aladar Huszar zrzekł się urzędu, by nie służyć Republice Sowieców. Zabrano klejnoty jego żony, nie dają mu dobrej żywności. To, co się zje dzisiaj, nie może być zastąpione jutro. Chleba, który otrzymuję, pozbawiają siebie moi gospodarze. A jeśli mię tu znajdują, jeśli aresztują?... „Przechowujący skazańca winien jest dziesięciu lat ciężkich robót”.

Trzeba mi jechać dalej, jeśli się nic nie zmieni. Może wody Ipoly opadną dzisiaj wieczorem? Może już Czesi nie pilnują brzegów. Może od strony mostu Kovar?... „Czekajmy — mówi pani Huszar. — Przewidują atak dzisiaj w nocy, wówczas będziesz uratowana... Chodźmy zobaczyć, może...” Słyszmy zwolna wzdłuż rzeki. Powietrze było świeże i czyste. Wiatr wiał i kapał się we wzburzonej wodzie. Drogą szła kobieta z koszem na ramieniu. Przywitała nas:

— Idziecie stamtąd?

Kobieta skinęła głową twierdząco: „Mamy kawałek gruntu w Kovar, lecz od dzisiaj Czesi przepuszczają mnie nie będą. Strzelają do każdego, kto wejdzie na most. Coś się gotuje”.

Po jej odejściu popatrzyliśmy po sobie, potem na most. A więc niema już przejścia. Pośrodku rzędy drutów kolczastych oznaczają granicę, z jednej strony pilnują czerwoni. U stóp ogrodów obalone drzewo: naturalny ten most, przez który jeszcze ostatnimi dniami przechodzili uciekający, pokryty obecnie wodą. Rozgałęziona korona drzewa nawpół zatopiona. Ipoly rozlewa się, niby morze...

Srebrna wstęga rzeki płynie wśród zielonego aksamitu zatopionych łąk i pastwisk. Na srebrze tym drżą, jak welon, wierzby przydrożne. Tu i owdzie występują wzgórza, jak niektknięte płatki aksamitu i samotne topole podnoszą się z wód. Dalej na niebieskim tle pięknych gór Hont rozpościerają inne topole zielone sztandary swego listowia.

Wszechświat pogrążony jest w nieskończonej promienności. Po oślepiającym tym bezmia-

rze pływają ptaki wytryskując jak proce. Drobne rybki oszalałe wyskakują z wody. Życie, triumfalne zmartwychwstanie!

Z hałasem jedzie za nami wózek pełen żołnierzy wiozących chleb na posterunki wiejskie. Hałas wzrasta. Wózek mija i znika wkrótce na skrócie, lecz zapach chleba pozostaje w powietrzu.

Dzisiaj Wielka Sobota. W kościołach naszych czatują szpiedzy władz żydowskich. Muszę się kryć przed ludzkim okiem. Pozostaje mi tylko wybrzeże i droga. A jednak jestem w kościele. Pod sklepieniem niebios grają na organach wiatry wiosenne, zapach ciepłego chleba wywołuje obraz mszy i rezurekcji.

20 kwietnia.

Wypadki rzucają cień przed siebie, gdy zaś się stają, usuwają się same w cień. Już od rana czuć było dziwny niepokój na ulicy przedmieścia. Gdy łkające dzwony budziły we mnie wspomnienia dawnych Wielkanocnych niedziel przechodzili pod memi oknami w stronę kościoła ludzie z wiosek sąsiednich w obcisłych barwnych strojach. Obcasy butów stukały, krochmalone suknie szeleściły, młodzi ludzie rozmawiali głośno tonem groźnym. Niektórzy mieli przy kapeluszach kwiaty czerwone i białe z zielonymi liśćmi.

W oknach kordegardy rozpierali się czerwoni żołnierze, inni stali na ulicy. Patrzyli nieufnie na chłopów. Gdy ludzie przeszli, żołnierze zaczęli żywą rozmowę. Jeden z nich za-

dzwonił do nas. Zażądał, by mu dano całkowite nowe ubranie, bo się żenił dnia tego. „Panowie mają tego dostatecznie”. Dla poparcia swego żądania zaczął udawać bohatera: „Będzie ofenzywa w Uzsok. Zniszczymy Czechów i połączymy się z Moskalami. Oni już przeszli Karpaty...” Wziął pod pachę, co mu dano i odszedł pośpiesznie.

Za powrotem do domu opowiadał Aladar głosem przyciszonym: „Wielkie wzruszenie wśród towarzyszy”. Rumuni rozpoczęli 16-go atak na odcinku między rzeką Maros i Szamos. Czerwony pułk międzynarodowy uciekł przy pierwszym strzale armatnim. Uciekali żydzi rosyjscy i wiedeńscy. Zdobywali szturmem pociągi. Zanim Włosi rozpoczęli atak oni już opuścili biednych Siculów” (mieszkańcy Siedmiogrodu).

Hrabia Stefan Bethlen, przewodca madyarów emigrantów zagranicznych prosił napróżno mocarstwa zachodnie w imieniu wiedeńskiego komitetu węgierskiego o zbrojną pomoc przeciw komunistom. Próżno protestował przeciw wysyłaniu jako „zbawców” drobnych naszych sąsiadów, grabieżców kraju.

— Członkowie Dyrektorjatu ukrywają prawdę — rzekł Aladar Huszar, po dłuższym milczeniu. — Mówią dużo o rewolucji światowej. Rewolucja światowa jest zawsze w pogotowiu, gdy ich stanowisko się pogarsza. Pisma ogłaszają o wrzeniach we Włoszech i we Francji, o wzmocnieniu rządu sowieckiego w Monachjum, oraz, że ogłoszenie republiki sowieków w Wiedniu jest tylko kwestją kilku godzin.

Co w tem jest prawdziwe? Aladar Huszar robił papierosy. Ofiarował mi jeden. Wciąż mi coś daje. Dają mi ciągle, niestety, a ja wciąż proszę, wciąż dziękuję. „Proszę o zapałkę”, chciałam powiedzieć, lecz nie mogłam wyrzec tych słów i trzymałam papierosa w ręku. Pani Huszar dała znak mężowi: „Daj ognia... Pobiegł do biurka i przyniósł automatyczną zapalniczkę: „Niech to pani przyjmie jako podarek Wielkanocny”.

Żona jego złożyła robotę na stół i rzekła patrząc na mnie:

— Przyjmij. Boleśnie mi jest, że musisz prosić o wszystko, ty, coś wszystko oddała...

Ujrzałam w tej chwili na pięknej twarzy pani Huszar jej serce, które tak dyskretnie ukrywa.

— Idę na stację po wiadomości — rzekł Aladar Huszar, biorąc kapelusz. Wydawał się niespokojny.

— Co się stało? — spytała żona jego wahająco.

— Tajne rozporządzenie przyszło telefonicznie do Dyrektorjatu. Podobno rząd Sowietki kazał brać zakładników.

Zamgliło mi się w oczach. Zaczęłam drżeć. Wieść ta była najstraszniejsza ze wszystkiego. Biorą zakładników... Obca rasa bierze życie Węgrów, dla zagwarantowania własnego istnienia.

Wkrótce potem drzwi się znowu otwały. Na progu stał Aladar Huszar. Oczy mu błyszczały, wyraz twarzy był dziwny.

— Źle z nimi. I zaczął się śmiać śmiechem urywanym, wzruszony niezmiernie. Oczy zasłyły

mu łzami. Patrzcie tu. Piszą sami: „Rewolucja jest w niebezpieczeństwie”.

Wyrywałyśmy sobie dziennik. Dnia 19, wieczorem zebrał się zarząd Rad robotniczych i żołnierskich w Operze Ludowej. Bela Kun, Agoston, Pogany, Lukacs, Londer, Böhm, Szamuelly i inni zajęli miejsca na scenie. Kunfi oznajmił: „Ententa zaciska dokoła sowieckich Węgier żelazną swą obręcz”. Popatrzyliśmy po sobie. Nie dadzą więc nas zniszczyć. Litość ludzka przychodzi nam na pomoc...

— Słuchajcie. Bela Kun sam uważa, że to już koniec:

„Podług otrzymanych wiadomości Rumuni zajęli Szatmar Nemeti, gdzie burżuazja skasowała natychmiast Republikę Sowietów, wywiesiła białą chorągiew i obwołała króla... Wskrzyszono system własności prywatnej... Rumuni są pod Nagyvarad... W Debreczynie udało się jeszcze robotnikom zgnieść kontrrewolucję... Wszyscy iść muszą na front... Umrzemy, jeśli trzeba będzie za dyktaturę proletariatu”.

Nauczyliśmy się czytać między wierszami *Voros Ujsag*. Boją się... Grożą w przerażeniu.

Wilhelm Böhm powiedział robotnikom: „Ktobądź wykroczy przeciw dyscyplinie, traktowany będzie jak kontrrewolucjonista”. Na scenie Opery Ludowej, wznosił Pogany pieśń: „Towarzysze, trzeba oznajmić tej burżuazji węgierskiej, że uważamy ją od dzisiaj za zakładników. (Huragan oklasków). Niech wie, że nie będzie się cieszyła, jeżeli wojska Ententy się posuną, każde posunięcie się armij rumuńskich czy serbskich będzie dla burżuazji dotkliwym ciosem.

(Gwałtowne brawa). Niech się nie cieszą burżuje, niech nie wywieszają z okien białych chorągwi, bo my je zabarwimy krwią ich na czerwono". (Uznanie i szalone oklaski przez kilka minut).

Szamuelly wszedł na trybunę: „Ojczyzna proletariatu w niebezpieczeństwie — zawołał. — Śmierć wszystkim wrogom proletariatu. Śmierć burżujom. Jeżeli dotąd nie przelano na Węgrzech krwi w sprawie panowania proletariatu, popłynie ona od dzisiaj i to nie tylko krew proletariuszy, lecz i krew burżujów...” I publiczność teatralna, Żydzi sowieckiego robotniczego, oklaskiwali tupiąc, gdy Żyd Szamuelly zapowiadał rozlew krwi proletariatu i burżuazji ochniętych przeciw sobie. Pragnie on zniszczyć klasę inteligencji przez gniew robotników wysyłanych na śmierć. Chce spowodować wydarzenie własnymi węgierskimi dłońmi mózgu Węgier.

Szałeństwo! Skazują na śmierć swoich niewolników zarówno jak swych wrogów. Czy będą mieli czas wwrznąć naród cały?

Zebranie w Nagyszombat wydało jako wniosek postanowienie, że wszyscy proletariusze muszą iść pod broń dla obrony dyktatury. „Revolucja w niebezpieczeństwie”.

Niestety. Rumuni są w Nagyvarad!... lecz potworna dyktatura się kruszy i mimowoli czuje się ulgę. Miłosierdzie ludzkie ulitowało się nad nami. Jeżeli nam Rumuni co odbiorą teraz, pókj zwróci nam nasze mienie.

Na ulicy dały się słyszeć kroki. Na brzegu chodnika stał obcy człowiek i patrzył w stronę naszego okna. Nagle przypomniałam sobie...

Widziałam w wigilję tegoż samego człowieka w tem samym miejscu. Pani Huszar ścisnęła mę-
ża za ramię.

Na ulicach zapalono lampy. Z ciemnego po-
koju prowadziliśmy dalej obserwację. Czarna
postać stała wciąż na rogu ulicy.

21 kwietnia.

Nic się nie ruszało w ciemnościach, wskutek
ciszy dom stał się rezonatorem. Słyszałam ude-
rzenie pulsu na skroniach, jedno po drugim.
Czy człowiek czatujący wciąż stoi?

Po północy rozległ się pojedynczy strzał
armatni. Nastąpiła złowroga cisza. Takim być mu-
si nocny spoczynek w domach warjatów, tam,
gdzie lampy na korytarzach palą się przyćmio-
ne, gdzie od czasu do czasu zadźwięczą przed
celami szybkie kroki. Straż robi ront. Na dwo-
rze patrol czerwony przeszedł przed oknami.
Wkrótce będzie świt. Uwolnienie znowu się od-
wlekło. A jednak godziny idą teraz tak szybko.

Jeżeli mocarstwa Ententy się nie pośpieszą,
dyktatura zemści się na nas. Niech się śpieszą,
by nie przybyć zapóźno. Groźni dyktatorzy
głoszą, że krew popłynie. Rozlepiają wezwania:
„Do broni”. „Żołnierze czerwoni naprzód!
Wstańcie na obronę proletariatu! Rewolucja
w niebezpieczeństwie!”

Przegrupowują czerwonych rezerwistów
z Debreczynu i Nyivegyhara. Przywożą też z te-
goż frontu kilka bataljonów i baterję. Pociągi
wychodzą o godzinach niezwykłych... Dyrekto-
rjat zdenerwowany. Mali prowincjonalni tyrani

mówią z bladą spoconą twarzą o zwycięstwach czerwonej armji, o niepokonanem męstwie „bohaterskich proletariuszy”. Zdobyczy, jeńców ilość nieskończona! Dzienniki piszą w tym samym sensie, stolica wciąż teletonuje. Przycho-
dzą szytrowane depesze. Z przeciwległego zaś brzegu lpolu wołają Czesi: „A co, czerwoni, będziecie mieli czerwoną Wielkanoc”. Powiadają, iż dużo żołnierzy uciekło z miasta tej nocy. W dzień zdają się mniej liczni, niż zwykle. Wałęsają się przygnębieni koło kordegardy. Gdy ich werbowano, mówiono im: „Precz z wojną! Stan żołnierski nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. Dostaniecie znaczny żołd, żołnierzowi czerwonemu wolno wszystko!” A teraz, niespodzianie, wzywają żołnierzy przed wojenny trybunał rewolucyjny. Bela Kun zniósł sowiety żołnierskie i system delegatów. Trzeba iść na wojnę. Wieczorem spacerowaliśmy nad rzeką. Żołnierze mijali nas pośpiesznie, w pojedynkę. Wszyscy pousuwali czerwone znaki z czapek, niektórzy mieli dawne, zniszczone czapki piechoty.

Zimny wiatr targał topolami. Płynący włos rzeki jeżył się tysiącami drobnych, srebrnych grzebyków. Osiki drżały całym ciałem. Znowu przeszedł żołnierz od strony miasta. Ujrawszy nas, zbiegł z drogi i skierował się szybko przez pole.

— Jeszcze jeden dezertor.

Na przeciwległym brzegu odróżnić można było drobne postacie, uzbrojone w bagnety. Pod ołowianem niebem jaśniało jedno tylko drzewo pokryte kwieciami.

W duszach naszych wstawała nadzieja.
Byle tylko wiatr lodowaty nie zabił tej
przedwczesnej wiosny!

22 kwietnia.

Niema wiadomości. Druty telegraficzne zamarły w powietrzu. Przechodnie nawet rozmawiają głosem przyciszonym. Żołnierze wyglądają beczynnie z okien kordegardy. Pism niema. Armaty czeskie milczą.

A jednak widziałam dzisiaj jeden z najpotworniejszych objawów strasznych czasów teraźniejszych.

Jakieś dziecko, niewidoczne jeszcze dla mnie, śpiewało; śpiew jego dochodził wyraźnie. Gdy się zbliżyła, mały śpiewak przechodził właśnie ulicę. Z pomiędzy domów dochodziły słowa: „Mój ojciec, moja matka...” Był to młody chłopak. Prostował się z miną wyzywającą, powtarzając ostatni wiersz strofki. Usłyszałam wyraźnie: „niechże już zdechną ojciec mój i matka”. Popłynęła dalej zwrotka na nutę melodji, zapożyczonej z jakiegoś kabaretu budapeszteńskiego, lecz wzruszone me serce zabiło niespokojnie. Wiele wstrętnych rzeczy słyszałam o nowym bolszewickim duchu pedagogicznym, lecz to — było najgorsze.

Przekształcanie szkoły węgierskiej rozpoczęło się oddawna. Poprzedziło ono wojnę. Nasze wolnomularskie rządy i masonscy burmistrzowie stolicy sprowadzili je niepostrzeżenie. Potem przyszedł Karolyi i, jak wszędzie na innym

gruncie, tak i tu, przygotował bolszewizm przez wychowanie młodego pokolenia węgierskiego.

Masowa nominacja profesorów i nauczycieli Żydów, bolszewicka reforma podręczników szkolnych Lukacs - Löwingera i Balars Bauera (Beli Herscha), znieprawienie duszy dziecięcej, pogarda dla autorytetu ojcowskiego, systematyczne tępienie uczucia moralnego i narodowego, pogładowe uswiadnianie o stosunkach płciowych — były dziełem rządu Karolyiego. Sowieciom pozostało tylko usunięcie kilku ludzi, a maszyna działała wyjątkowo w duchu destrukcyjnym. Przerazenie ogarnia na myśl o tem, kto kieruje obecnie dziećmi i młodzieżą węgierską.

Komisarze ludowi wychowania publicznego — to sami Żydzi: mormonoman Kunii, zdegenerowany Grzegorz Lukacs, morderca Pogany, który się szczyci tem, że zabił Tiszę, Szamuely, mordujący w Rosji oficerów jeńców węgierskich. Wychowawcy szkół wyższych mają, jako kierownika, tak zwanego „urabiacza młodzieży”, innego mordercę, Lekai Leitnera, który pragnął również zamordować Tiszę w przeddzień rewolucji u drzwi parlamentu. Chorzy, pijacy, zbrodniarze, widzący w szkole tylko srodek propagowania swych idej, demoniczne laboratorium, w którem zatruwać można dusze bezbronne.

W sypialniach pensjonatów dla dziewcząt nocują miodzi nauczyciele Żydzi, żeby się dziewczynki przyzwyczaiły do obecności mężczyzn. We wspólnych wannach towarzyszą dziewczynom studenci medycyny Żydzi, w celu wyszydzenia ich niepotrzebnej wstydlivosti. Wychowanie seksualne idzie za tem. Rola szkoły

elementarnej zmieniła się. Oznajmiono nauczycielkom, by zapomocą zabaw szkolnych usunęły dziecko od matki, uczyniły dom zbyt cichym. Zabawki są wspólne. Trzeba, by dziecko zapomniało o „zbrodni” własności prywatnej. Zmuszając pokolenie obecne do wstępowania w szeregi armji czerwonej, nakazuje rząd jednocześnie usuwać „zabawy żołnierskie” w obawie, by niewolnik nie zamarzył kiedyś o buncie.

Wyszedł dekret o oddaniu książek do czytania i historycznych. Pałac stosami te książki, tak że po nich ani śladu nie pozostanie, każe pisać nowe książki ludziom, nie umiejącym nawet po węgiersku.

Destrukcyjna ta entrepryza przygotowuje nowy elementarz, komisarjat zaś oświaty publicznej nakazał, by elementarz ten był „dziełem propagandy walki klasowej”. Z programów usunięto literaturę węgierską. W szkołach węgierskich będą odtąd uczyli literatury „wszechświatowej”. Fałszują naszą historję, szkalując ją systematycznie. „Jan Hunyade jest szarlata-
nem, król Mateusz — największym oszustem, Piotr Mazmany — łotrem”. Rozumiem więc pochodzenie strasznej, bluźnierczej pieśni chłopca.

Trzeba, żeby dzieci pogardzały ojcem i matką do tego stopnia, by rodzice nawet tajnie w czterech ścianach nie mogli naprawić tego, co zniszczono. Djabelski wróg zniepewnił duszę węgierską powoli, wysiłkiem lat pięćdziesięciu. Gdy doszedł obecnie do władzy, niszczy z wściekłym pośpiechem tę duszę, żeby naród nasz, jeżeli oprzytomnieje kiedy, nie wiedział, od czego zacząć.

XII. Tyburcjusz Szamuely, czarna hiena.

28 kwietnia.

Wielkim czarnobiałym łukiem lecą po niebie bociany. Przylatują tajemnicze ptaki, baśni i legend. Odleciały w jesieni i po długiej nieobecności, odnajduje każdy swe duże zjeżone gniazdo wśród drzew nad brzegiem Ipoly.

Widziałam, jak się spuszczały ciche i spokojne. Nie wchodziły gwałtem w cudze gniazdo. Wielkie tajemnicze prawa wskazywały im ich własność. Nie wiedzą, że w kraju naszym, u stóp drzew niema już gniazd dla ludzi.

„Wszelki dom mieszkalny jest własnością wspólną... nie zgadzający się na to, sądzonym jest przez trybunał rewolucyjny”.

Usłyszałam męski głos w korytarzu. Mężczyzna jakiś podróżował pieszo, potem wózkiem, przywiózł pani Huszar z Budapesztu list od matki.

Nie jestem zazdrosną, a jednak... dla mnie niema nigdy wieści ani listu.

Pani Huszar pokazała mi list ten, pisany jakby przez osobę umierającą. W stolicy cierpią głód. Życie jest ciężarne grozą. Jeśli się trzy osoby zatrzymują dla rozmowy, demagogdzy domagający się niegdyś prawa wolności zebrań, rozpędzają ich. Po dziesiątej wieczór nie wolno być na ulicy. W mieszkaniach zakazane są nawet zebrania rodzinne. Po jedenastej gasić trzeba lampy. „Mężowie zaufania” i szpie-dzy wszędzie rozlokowani śledzą ludzi i donoszą na tych, co się ośmielają ruszyć. Biedna

starsza pani, uskarża się gorzko, iż dali jej za lokatora dawnego służącego z żoną, wypędziła go niegdyś za kradzież. Są oni jej stróżami. U innej starszej damy ulokowano dziewczki przyjmujące w nocy czerwonogwardzistów i zmuszono je żywić jeszcze. Ludzie ci piją, niszczą meble, walają posadzkę. Dama ta musi sama czyścić po nich brudy, inaczej zagnieździłoby się w domu robactwo.

Bociany wracają do zeszłorocznych gniazd. Natura pogardza zamachami ludzkimi i nie zmienia wielkich swych praw. Mimowoli wyciągnęłam rękę po dziennik. Wiadomość pierwsza: Rumuni się zatrzymali... Niżej druga wiadomość — trzy nominacje. Rząd rewolucyjny mianował Wilhelma Böhma, mechanika, komendantem armji po tamtej stronie Tissy. Towarzysz Aureljan Stromfeld, pochodzenia austriackiego będzie szefem sztabu tego komicznego, haniebnego generała. On to wykazał Michałowi Karolyi'emu w jednym z memorjałów nieuniknioną triumfu rosyjskiej armji Sowieków i rewolucji wszechświatowej. Jakie jeszcze nieszczęścia sprowadzi na nas ten człowiek ambitny, utalentowany, lecz szalony.

A trzecia...

Tyburjusz Szamuely zostaje od dnia dzisiejszego prezesem nadzwyczajnego trybunału armji Wschodniej i samowładnym sędzią wszelkich ruchów kontrrewolucyjnych w kraju po tej stronie frontu. W jednej z proklamacyj, wydanej z obozu Szaluck, mówi on, co czynić zamierza: „Nie zwracam się do burżuazji z żadną prośbą, chcę tylko, by sobie zapamiętała co

następuje: „Ktokolwiek podniesie rękę na władzę proletariacką, podpisze tem samem własny wyrok śmierci. Wykonanie wyroku do nas należy. Kim jest ten człowiek, co się ośmiela tak przemawiać? Skąd przychodzi, dokąd dąży, ten, który od dnia dzisiejszego będzie absolutnym panem naszych istnień, którego nikt pytać nie będzie o zdanie rachunku z umarłych i zaginionych?

Postać jego występuje z mroku rewolucji. Jest on od początku przy boku Beli Kuna. Razem przeszli granicę rosyjską, razem przynieśli instrukcje i złoto Trockiego.

Pamiętam, było to w zimie. Tajne gniazdo komunistów istniało już przy ulicy Visegradzkiej. Spotkałam dwie osoby wychodzące z redakcji czerwonego Voros Ujsag. Jedną z nich była Marja Goszthony, zajmująca, pod imieniem Marji Csorba, ważny jakiś posterunek w republice sowieków i agitująca gwałtownie masy komunistyczne. Towarzyszył jej młody człowiek. Niegarbaty, miał jednak fizjonomję garbusa. Czarna hjena!... Później dowiedziałam się, że człowiekiem tym był Szamuelly.

Dziadek jego przybył z Galicji w chałacie z workiem na grzbiecie. W młodości udał się Tyburcjusz Szamuelly do Nagyvarad, gdzie był dziennikarzem, bez talentu pisarskiego z połowicznym powierzchownym wykształceniem. To czego się o nim dowiedziałam, stwierdziły mi osoby znające go osobiście w owym czasie. W kawiarni siadał zwykle w odległym kącie, sam nie zdając prawie nigdy czarnych rękawiczek. Ubranie miał zwykle czarne z czar-

nym krawatem, nosił długie czarne lśniące włosy, odrzucając je z czoła. Na wygolonej twarzy suchotnika zaznaczały się sinawe cienie. Syn żyda chałaciarza, stał się oryginałem, bawiącym się w cyganerię, ubranym po angielsku. Lecz to tylko wygląd zewnętrzny. W duszy nosił on wybuchający ogień i niespokojny płomień synagogalny. Włożyły to weń ciemności piątkowych wieczorów, ogień, świeczników siedmioramiennych i pragnienie zemsty pożerające wzgardzonych.

Nie bywał wcale u chrześcijan. Poszukiwał — jak sam mówił — kobiet chrześcijanek o złej opinii — gdyż lubiał je upokarzać. Mówił z nienawiścią o wszystkim, co madjarskie, chociaż zmienił, jak wielu nazwisko swe na imię węgierskie.

Przed wojną napisał był parę artykułików w jednym z dzienników Fiume. Następnie był współpracownikiem katolickiej agencji Magyar Curir. Mobilizowano go parę razy na początku wojny, lecz zrećcznie unikał wyjazdu, wreszcie zadekował się w biurze poza frontem. Później poddał się Rosjanom. Gdy w Rosji wybuchła rewolucja, syn żyda z Nywegykaza, zachowując się po grubijańsku z niższymi, bardzo pokornie z wyższymi, wzniósł się nagle ponad innych. Werbował gwałtem wśród jeńców węgierskich żołnierzy dla armii czerwonej. Carowie żydowscy uwolnili go i jako zadziwiający dowód swej solidarności rasowej, uczynili małego nieznanego żydka z Neiragyhara, wczorajszego jeńca wojennego szefem korpusu żydowskiej armji Sowieców w Rosji.

Wówczas to wybuchła w nim długo powstrzymywana zemsta. Kazał zamordować dziewięćdziesięciu dwóch oficerów węgierskich. W listopadzie roku zeszłego powrócił na Węgry. Wkrótce spotkał się z Karolyim w mieszkaniu Beli Kuna. Zbliżyli się, a krwawe usta wołały na zebraniach komunistycznych: „Śmierć burżujom!” Wieczorem, 21 marca był już wojennym komisarzem ludowym. Obecnie jest on prezesem trybunału rewolucyjnego.

Przed odjazdem z Budapesztu do Szaluck, usiadł pewnego popołudnia w oknie cukierni Gearbeand i patrzył na plac, pijąc kawę. Powiedział wówczas, wobec jednego świadka: „Każę tu, na placu Gizelli, wznieść gilotynę. Musi spłynąć dostatecznie krwi węgierskiej, by samochód mój toczyć się mógł przez krew. „Eskortuje go gwardja terrorystyczna. Podróżuje pociągiem zaopatrzonym w kulomioty i wozi ze sobą katów. W kole dziennikarzy w rewolucyjnym klubie „Othon“, stał się nagle dla dziennikarzy swej rasy, były niepokazny reporter wielkim człowiekiem. Powiadają, że Aleksander Brody, pijany szampanem, ścisnął Szamuellego witając go: „Mały Tyburcjusz, proroku nasz!...”

Tak, ich prorok... Teraz, myśląc o nim, widzę wyraźniej w pamięci tę twarz czarnej hieny. Uśmiecha się w sposób wstrętny do nowej swej władzy. Widzę jego czarną lśniącą głowę i rękę w czarnej rękawiczce, dającą znak. W miejscu, gdzie wskaże palcem, stawiają szubienice. podobne do liter hebrajskich, pozostają pod

szarem niebem, gdy specjalny pociąg unosi Szamuellę ku nowym buntowniczym strefom. Cudzoziemiec ten zapisuje się własnoręcznie czarnymi zgłoskami w księdze dni naszych i nocy. Tyburcjusz Szamuella wychowanym był w tajemniczym kulcie nienawiści, jest on członkiem fanatycznej sekty żydów wschodnich o rytuale surowszym, sekty Chesidem, tak ostrym, jak Żydzi starego Testamentu. Sekta ta nienawidzi blasku słońca. Wyznawcy jej uważają za prawdę to tylko, co jest w Torze i dlatego tylko, że to się znajduje w Torze. Tłumaczą, literalnie stary testament i pragną zrealizować dosłownie prawo: „Oko za oko, ząb za ząb”.

Nauka ta i jej ceremonie ukształtowały i wyrobiły zdegenerowaną duszę Tyburcjusza Szamuella'ego. Stał się w ten sposób najpełniejszym typem rasy, której czynniki głównie rozwinęły się w tajemnicy, w uległości pozornej i rozmnożyły się wśród nas. Nienawiść się objawiła, przedstawiciel rasy zdjął maskę, a zbudzona niechęć stuleci, obejrzała się dookoła siebie... Przez wybór Szamuella'ego stawia rewolucyjny rząd Sowietów nad ludem węgierskim kata tego, duszę swej duszy i krew swej krwi.

...Noc miałam bezsenną, ciężką. Zgasiałam świecę, by jej oszczędzić. Długo leżałam bezsennie w ciemności. Dokąbdaż skierowały się myśli moje, cofały się zawsze przed krwią i błotem.

XIII. Sztuka, literatura, a bolszewizm.

1 kwietnia.

Słowik śpiewa w noc wiosenną. Przechodzę omackiem ciemny pokój i otwieram okno, by wpuścić głos ten.

Mały śpiewaku, ostatni poeta w tym smutnym kraju, słucham twej skargi, a wyrazy dziennika, czytane go zrana powstają w mej pamięci. Rozporządzenia... Centralna rada produkcji intelektualnej... Twory intelektualne ukazać się mogą, tylko za pozwoleniem Centralnej Rady produkcji intelektualnej...

Ponad chaosem marzył Bóg o świecie doskonałym, lecz w urzeczywistnieniu dzieło jego zniekształciło się. Wszelkie piękno, którego brak owej realizacji potrafi nam, ku radości naszej, dać sztuka. Sztuka, tłumaczka wiecznych tajemnic świata, jest arystokratką, sztuka posiada tradycje, a biada temu, kto przez ograniczenia powstrzymać chce myśl artysty. Zabija myśl, zamordowuje sztukę.

A oto obecni realizatorowie marksizmu mówią o „sztuce dla mas” o „Towarzystwach eksploatacji intelektualnej”.

Ludzie ci, przywódca których nazywa siebie pisarzem, lecz dławi literaturę węgierską, są szkodliwymi, perwersyjnymi głupcami. Grzeszorz Lukacs, Alias Löwinser, podrzędny filozof żydowski, megalomanjak, syn milionowego bankiera, stał się pod wpływem żony, bolszewiczki Heleny Gontscharoff, alias Goldberger—apostofem proletariatu. Jako komisarz ludowy,

przydzielony do Oświaty Publicznej, kazał zamknąć księgarnie, składy nut, a po wstrzymaniu wszelkiego pulsowania życia, w czasie wielkiego narzuconego milczenia, wytworzył w głębi swych alembików, homonkulusa, który nie potrafi nigdy chodzić, ani śpiewać. Sporządził skadastrowanie pisarzy. Odkrył, iż trzeba rozklasyfikować talenty, rozłożyć je do różnych szuflad, jak się u kupców układa cykorję, groszek suszony i proso. Pisarze zostaną podzieleni na trzy kategorie. Wybrany w tym celu komitet zadecyduje, do jakiej kategorii należeć ma każdy autor. Podług klasyfikacji tej będą pisarze wynagradzani miesięcznie, wzamian zaś za to zmuszeni pisać. Poza tem nie będą oni mieli żadnych dochodów, lecz pensję swą pobierać będą stale, cokolwiekby wyprodukują, byleby pisma ich służyły interesom dyktatury i walki klas.

Poeci komuniści należą naturalnie do klasy pierwszej. Dyktatura czci tak samo Mojżesza Kahana, żyda z Polski, jak czciła niegdyś Jana Arany, wielkiego poetę epicznego. Na czele poetów klasy pierwszej, znajdują się również redaktor pisma pod tytułem: „Ma” (dzisiaj) towarzysz Kassak, piszący za stałą miesięczną pensję poezje, takie naprzykład, których zapomnieć dotąd nie mogę:

Łąki gwizdały
Żaby skrzeczały
Miłość wiosenna

.....
Rytm!...

I taki „wytwór umysłowy” ukazał się za

zgoda „Sekcji produkcji intelektualnej dyktatury proletariatu!”

W ogrodzie słowik wciąż śpiewa. Śpiewa wolne ptaszę nie wiedząc zapewne, iż muzycy i poeci muszą być tutaj członkami syndykatu.

Biedna moja ojczyzno, ziemio strzaskanych skrzypiec i umarłych pieśni!...

XIV. Zawieszenie broni żądane przez Belę Kuna.

Bela Kun prosił Rumunów o zawieszenie broni. Z propozycji jego przebija się niepokój i śmiertelne przerażenie. O ile wolno mu będzie zachować drobne szczątki, małego rozbitego kraju, zrzeknie się chętnie reszty terytorjum, gotów jest na wszelkie ofiary. Mardaresco, dowódca wojsk rumuńskich Siedmiogrodu, odpowiedział po trzech dniach. W swych warunkach zawieszenia broni nie mówi nigdzie o republice Sowieców, lecz zawsze o Węgrzech. Wymaga rozbrojenia wszystkich sił węgierskich... Wymaga, by węgierskie dowództwo wojenne zobowiązało się do wykonania wszelkich warunków, jakie będą ustanowione. Żąda całej broni, ekwipunku i prowiantu, całego naszego materiału kolejowego i pociągów pancernych. Nakazuje zwrócenie wszystkich jeńców wojennych i zakładników cywilnych wraz z uwolnieniem osób zabranych do więzienia przez wojska czerwone. Wszystko to ma być wykonane bez wywzajemnienia się ze strony Rumunów.

W ten to sposób traktuje się dzisiaj Węgry.

A dyktatura proletariatu, która dopomogła Rumunom przejść z brzegów Szamos i Maros na brzegi Tiszy, szczyć się może naszym upokorzeniem, jak zwycięstwem. Zaciskamy pięści w gniewie i sami tylko cierpimy.

Gdy pierwszego maja przeszli Rumuni Tiszę, chciał Bela Kun uciekać. Rodziny komisarzy ludowych pakowały rzeczy. Znaczne sumy popłynęły zagranicę. Lecz Ententa wstrzymała Rumunów. Bela Kun zyskał na czasie. Zorganizował pułki robotnicze i teraz odpowiada mobilizacją na warunki zawieszenia broni, podane przez generała Mardaresco. My zaś wciąż konamy...

Na murach Budapesztu rozlepiają nowe rozkazy:

„Nakazujemy masowe powstanie proletariatu dla uratowania rewolucji proletariackiej. Uważamy od dzisiaj Budapeszt za terytorjum wojny. Żądamy, by proletariąt wypełnił swój obowiązek do końca. „Rada rewolucyjna”.

Proszą również społeczeństwo węgierskie znienawidzone i prześladowane, by złożyło udział w ludziach dla uratowania swych prześladowców: „Wszyscy oficerowie rezerwy, poniżej lat czterdziestu pięciu, muszą się stawić do służby frontowej. Tych którzyby nie usłuchali rozkazu...”

Dla burżuazji, jeśli nie będzie posłuszną trybunał rewolucyjny. Dla proletariatu o ile wstąpi do armji czerwonej pensja cywilna, wzmocniona przez żołd wojenny.

Dramat nieskończony. Rozpoczyna się na nowo.

W Budapeszcie na Vermezo, przeglądają wojska towarzysze, komisarze ludowi i żony ich. Komendant naczelny Wilhelm Böhm opuszcza kwaterę swą w Gödöllo i jedzie dawnym pociągiem królewskim na inspekcję wojsk w prowincjach.

Neroni Galicyjscy weszli w swą komiczną rolę, a kronikarz ich Nepszawa (Głos ludu) organ socjalistów, będący wczoraj jeszcze antymilitarystycznym niszczycielem, wszelkiego rodzaju autorytetu, pisze obecnie z zachwytem:

„Towarzysz Böhm uczynił przegląd wojsk i wyraził zadowolenie z ich świetnego stanu. Następnie udał się główny komendant ze swi-
tą na front, gdzie zwiedził wysunięte posterunki i wysłuchał raportu wodzów. Towarzysz Böhm jest pełen ufności...”

Stary, dobrze znany tekst. Brak w nim tylko imienia arcyksięcia Józefa, które opuszczono zastępując je nazwiskiem towarzysza Böhma. 1914—1919.

Tutaj, przegląd wojsk byłby trudnym, gdyż większa część gwardji uciekła. Chłopiec od rzeźnika z Gyarmat, zastępuje kapitana Bajatza i kieruje operacjami wojennymi, nie wychodząc z kawiarni. Towarzysz zaś Riechmann jest... szefem sztabu generalnego.

Oznajmiono z wieczora, że Czesi zajmą Gyarmat tej nocy. Słowik śpiewał w zadrzewionem podwórku skapanem w świetle księżyca, słyhać było ludzi rozmawiających w sąsiednim ogrodzie.

Jeśli Czesi nie przyjdą tej nocy, zakładnicy

zginą. U wejścia do więzienia żołnierze wołali dzień cały: „Zginiecie, wstrętne świnię”.

W tej samej chwili ryknęła armata na wzgórzu obrosłem winogradem.

— Co za czarujący głosik — rzekł radośnie starszy głos kobiecy u sąsiada.

— Nie cieszcie się tak głośno, mogą nas jeszcze wyprawić w ciemności.

— Ależ mówię o słowiku, — zamruczała staruszka.

— A to co innego, — rzekł ktoś śmiejąc się, — myślałam, że mówicie o czeskiej armacie.

Nagle wybuchła zaciekle strzelanina w kierunku Ipoly. Kule przeszywały powietrze na wszystkie strony. Pobieglyśmy ku domowi. Nad remizą gwizdnęła kula, przeczulam jej pęd. Przeleciała mi nad głową jak oszalała osa, szybko i wbiła się w ścianę.

Okiennice domów zamykały się pośpiesznie.

Możnaby powiedzieć, żeśmy w okopie. Kule gwizdzą. Rozbijają się o ściany. Ludzie wychodzą raz po raz z ciemności, wysuwają szyję na światło księżyca, potem cofają się gwałtownie, tuląc głowę w ramiona. A osy wciąż brzęczą koło domu.

24—25 maja.

Gdyby zwycięscy generałowie zajęli kraj nasz po krwawych walkach, rzeź skończyłaby się po odniesionem zwycięstwie.

Lecz Węgry zajęte zostały bez walki przez dwudziestu czterech komisarzy żydów. Rabunki, stan oblężenia przeciągają się, morderstwa

nie ustają. Niema nic straszniejszego nad tę powolną egzekucję, trwającą szereg miesięcy. Nad wszystkimi żywymi cięży wyrok śmierci. Nie uświadamiają go narazie, odczuwać go zaczynają stopniowo, lecz czatuje on wszędzie.

Z Budapesztu nadchodzą rozpaczliwe wieści. Miasto umiera z głodu. Wydaje niekiedy okrzyk bóleści. W odpowiedzi oznajmia Bela Kun na jednym z zebrań robotniczych: „Mamy jeszcze dosyć żywności, by proletarjat nie odczuwał braku”. Nie mówi o mieszkańcach miasta, lecz tylko o uprzywilejowanej klasie proletariatu, włączając w to klasę kierowniczą żydowską, która się również nazywa „proletariatem”. Ci nie będą głodni. Jeśli liczba prawdziwych Węgrów się zmniejszy, co to obchodzi Belę Kuna. Można też zabijać ludzi małemi kartkami kolorowego papieru. Złość komisarzy ludowych jest niezmierną. Gdy nie śmia działać osobiście, każą mówić radom robotniczym i żołnierskim. Oni to mają decydować. Jako środek powolnego zabójstwa, puszczają obecnie w obieg kartki żywnościowe. Dziela ludność na kategorie, decydując komu dać, a komu odmówić chleba.

Otrzymujący kartki czerwone: robotnicy fizyczni, czerwoni żołnierze i czerwoni uprzywilejowani będą jedli do syta, jak dawniej. Posiadacze kartek niebieskich, funkcjonariusze, nauczyciele, wdowy, emerycy odczują głód. Reszta będzie mogła umrzeć. „Kategoria” głowy rodziny obejmuje wraz z nim wszystkich należących do tegoż gospodarstwa”. Jest to równo-

znaczne morderstwu z premedytacją: jest to projekt wytępienia dzieci burżuazji węgierskiej.

Dyktatura proletariatu propaguje wszędzie walkę klas, nawet w sądzie, książkach szkolnych i żłobkach uczyniło swem narzędziem i chleb również.

Nigdy okrucieństwo nie zaznaczyło się jawniej. Dyktatura proletariatu robi różnice nie tylko między dorosłymi, lecz i między dziećmi. Biedne istoty, które się urodziły na nieszczęście nie wśród robotników metalowców lub czerwonych żołnierzy, lecz w ciasnych mieszkaniach urzędników czy wdów, żyć będą w nędzy. Od czasów Heroda niema w historii rozdziału tak straszego.

XV. Chłopcy Lenina.

W początkach kwietnia usłyszałam po raz pierwszy o pewnym marynarzu, który zebrał oddział terrorystów, złożony ze zbiegłych galerników i żydów rosyjskich. Dowiedziano się następnie, że ludzie ci zajęli pałac Botthyony, na bulwarze Teresy i Hunyady, na ulicy Trefort. Pierwszego maja wywiesili na ścianie pałacu duży napis: „Chłopcy Lenina”. Odtąd noszą oni to imię. W Budapeszcie, czy na prowincji, terroryści ci, uzbrojeni po szyję, ubrani w czarne skórzane płaszcze, ukazują się w nocy wszędzie, gdzie się kto poruszyć ośmieli. Złapali oni ostatnio pułkownika Dermondy i Wiktora Horvotha, którzy, podług najświeższych wiadomo-

ści, znieśli najokropniejsze męczarnie. W pałacu Botthyony zawiesili ich chłopcy Lenina w powietrzu, wkładali im rozpalone cygara do ust, wlewali w gardła wodę litrami i wbijali gwoździe w paznokcie. Czy żyją oni jeszcze? Nikt nie wie. Widma krwawe mnożą się. Pamiętam, co mówiono przed kilku tygodniami: „W Meko wybuchła kontrrewolucja”. Wtedy dowiedzieliśmy się o zabiciu dawnego prezesa Izby Ludwika Navaya. Dlaczego miano właśnie uśmiercić jego, co był omal, że zbyt liberalny, zwolennik reformy wyborczej, dobroczynny filantrop, który od czasu rewolucji usunął się był od życia politycznego.

Więść nie znalazła zaprzeczenia. Teroryści peszteńscy udali się do Meko. Skierowano uwięzionych do Budapesztu koleją. Przed stacją Kislanfolegy baza, stanęli teroryści u drzwi przedziału, krzycząc: „Niech się ukażą hrabowie i baronowie!”. Gdy nikt się nie ruszał, jeden z ludzi, wychowanych, gdy był sierotą, przez rodzinę Navay'ich, zbliżył się i rzekł: „Oto ekscelencje. Bierzcie ich”. Teroryści kazali wysiąść więźniom i kazali im wykopać sobie grób w zaroślach, na linii. Prędko. Nie było czasu doczekać się wyroku sądu wojennego. Nie wysłuchawszy swych ofiar, zabili ich wystrzałami z rewolweru i wbili im noże w piersi. Potem wrzucili ich w nawpół wykopane groby. Jeden z zamordowanych żył jeszcze, ręka jego wysunęła się z ziemi i poruszała się jeszcze czas jakiś. Specjalny pociąg Szamuelly'ego objeżdża kraj dalej, a gdzie się zatrzyma — egzekucje.

Haiduszoboszlo... Daleko jest to piękne miasto Haiduckow, tak mi drogie, a jednak wiadomość dokładna doszła do nas. Przywiózł ją Antoni Szalmary, kolejarz. Było to 23 kwietnia. Front czerwony znajdował się już w okolicach Debreczyna. O świcie jeden z oficerów wyszedł z szeregów i zawołał:

— Uciekajcie, kto może. Rumuni idą.

Pierwszy uciekł pułk międzynarodowy. Jedna z ostatnich kompanij, strasznie pomieszanych, uciekła koleją w kierunku Szoboszla. Kazano palaczowi Szatmaremu prowadzić pociąg. Pociąg pancerny przychodził ostrożnie ze strony przeciwnej. Młodzieniec czarnowłosy z czerwonym nosem wychylił się z wagonu i zapytał:

— Co nowego, towarzyszu, w Debreczynie?

— Jesteśmy ostatni — rzekł palacz.

Młodym człowiekiem był Szamuelly. Zatrzymał się w Szoboszlo. Musiał być w złym humorze, kazał bowiem obić zawiadowcę stacji i kilku robotników. Nigdy się nie dowiedział, za co. Pociąg jego nie dosięgnął jeszcze sygnałów, gdy ujrzał białą chorągiew na dzwonnicy kościoła Szoboszlo. Kazał jechać wstecz. Towarzyszyła mu konno kobieta o niebieskich oczach. Kazał zaaresztować trzech niewinnych ludzi, których wypadkowo spotkał na drodze: właściciela młynów Körnera, prefekta policji Józefa Tokaya i mera miasta Władysława Fekete. Kazał ich następnie powiesić na trzech akacjach, przed apteką.

— Jednego po drugim — rzekł Szamuelly, a podczas egzekucji czyścił paznokcie.

Pojechał dalej. W Kobie torturował wikarego, rejenta, sędziego...

Już nadciągali Rumuni.

Wrócił do Szalnok. W całym okręgu Szalnok brał i wieszał zakładników. Odkąd Szamuelly wymierza sprawiedliwość, zginęło sto pięćdziesiąt osób... Gdy tak myśli moje błędą po kraju, już niejeden za drugim stają przede mną krwawe cienie, przychodzą tłumnie — a wszystkie są Węgry i chrześcijanami. Dnie i noce pełne są widm.

13 czerwiec.

Znane nam dzisiaj fakty z początku czerwca. Dyrektorjaty z Szombathely i Belldömök próbowały wypełnić rozkaz Eugenjusza Landlera, zmuszając kolejarzy, wyćwiczonych wojskowo, do połączenia się z czerwoną armją. Kolejarze w Szombathely i Czelledomok postanowili przerwać pracę i obalić dyktaturę przy pomocy strajku. Inni przyłączyli się do nich i dnia 2 czerwca stanęły wszystkie pociągi od granicy austriackiej do brzegów Dunaju. Chodził tylko specjalny pociąg Szamuelly'ego, wożąc „chłopców Lenina“.

Wobec tego, że Budapeszt nie przyłączył się do ruchu, nie udało się kolejarzom powstrzymać komunikację w kraju. Wrócili do pracy po sześciu dniach walki. A Bela Kun dotrzymał danej obietnicy: „Powieszę po kilku kolejarzy na każdej stacji i będzie porządek. Uczyniłem tak w Rosji“. Lecz rzucone zarzewie wznieciło ogień w kraju.

Kontrrewolucja wybuchła w Sopran, ludność Czenku, Czorny i Kopuvorn wzięła za broń. Natychmiast zjechali się zewsząd czerwoni. W Czornie zebrali terroryści z Györ kontrrewolucjonistów, zamykając sto pięćdziesiąt osób w małej celi. Spuszczono żelazne rolety u okien, dla uduszenia jeńców. Przybył Szamuelly, poprzedzony przez czerwoną gwardję, która biegła, wołając: „Idźcie do domów”; kto zaś nie zdążył uciec w porę, do tego strzelano.

Gdy Szamuelly z terrorystami wrócili do miasta, ulice były puste. W samochodzie, otoczonym kulami, przeszła w śmiertelnej ciszy czarna hyena. Zastawiono stół pod odkrytym niebem. Szamuelly kazał więźniom przychodzić pojedynczo, nie badał ich, pytał tylko, którzy z nich są bogaci. Potem kazał mężczyznom stanąć jednym po prawej, drugim po lewej stronie. Nikt nie wiedział, kto ma umrzeć — stojący po prawicy, czy po lewicy. Nie przesłuchiowano świadków. Szamuelly stanowią sam trybunał wojenny. „Na szubienicę!” — krzyknął do grupy na lewo, i ośmiu skazańców skierowało się w stronę kościelnego placu.

Jeden ze skazańców, terminator szewcki, zemdlął w drodze. Pozostawiono go na ziemi. Kaci bili resztę w ostatniej tej drodze kolbami i pluli w twarz. Porucznikowi Takos wbili w oczodoły binokle z taką siłą, że jedno oko wyszło z orbity. Gdy nieszczęsny szedł na śmierć, zerwano mu chustę, którą był przewią-

zał czoło, a wybite oko zwieszało i chwiało mu się nad twarzą.

Młynarza Juljusza Akiesa spoliczkowano pod szubienicą. Zginęli Stefan Tarescy, Ludwik Laffer i Franciszek Glaser. Żaden lekarz nie asystował egzekucji. Jeszcze trupy nie ostygły, gdy teroryści obdarli ich już z ubrania i kazali innym jeńcom kopać dla nich groby.

Szamuelly, obecny przy egzekucjach, osypywał ofiary szyderstwami. Nazajutrz, w niedzielę Zielonych Świątek, pracował już w Kapuvar. Przybył z grupą pięćdziesięciu terorystów, zbrojnych w ręczne granaty i kulomioty. Kazał sobie przedstawić jeńców: „Powiesić ich”. Naczelnik biura pocztowego Zygmunt Mesterkazy, brygadjer żandarmerji, Paweł Piuter, Józef Pust, Karol Szemmel i Fabjan wyprowadzeni zostali przed kościół, lecz Szamuelly ułaskawił Fabjana, albowiem ktoś szepnął mu był, że ten jest przewodniczącym gminy żydowskiej. W drodze bito ofiary do krwi. Sznur zerwał się pod brygadjerem Pinter. Dwoje małych jego dzieci rzuciło się błagać o łaskę. Szamuelly nie ułaskawił.

Nałożył na miasto podatek kilku milionów koron, zabrał znaczną ilość bydła i odjechał spokojnie swym specjalnym pociągiem.

Ten pociąg śmierci przejeżdża z hałasem wśród nocy węgierskich, gdzie się zatrzyma—wiszą ludzie po drzewach, a krew spływa po bruku.

Wzdłuż drogi znajdują częstokroć nagie, okaleczone trupy. Szamuelly w pociągu nawet wydaje wyroki. Kto zmuszony zostanie jechać

tym pociągiem, nie opowie nigdy tego, co tam widział. Szamuelly mieszka w nim stale. Trzydziestu wybranych terrorystów czuwa nad jego bezpieczeństwem. Specjalni kaci towarzyszą mu. Pociąg się składa z dwu wagonów salonowych, dwu wagonów klasy pierwszej, zarezerwowanych dla terrorystów, i dwu wagonów klasy trzeciej, dla ofiar. Tam odbywają się egzekucje. Podłoga w tym wagonie czerwona jest od krwi. Trupy wyrzucają się przez okno w czasie, gdy Szamuelly siedzi przy ślicznym swym damskim biurku w salonowym wagonie, wybitym różowym jedwabiem, ozdobionym szlifowanymi zwierciadłami. Jeden ruch jego ręki daje życie lub śmierć...

Rodzaj obmyślanych tortur, wstrętne i zmysłowe okrucieństwo przebijają przez wszystkie postęпки przystosowanego marksizmu, wszystkie rozkazy, zarządzenia, nawet redakcję wiadomości. Ludzie odważni zabijają, podli torturują. Rasa węgierska mężną jest i dzielną. Może ona być dziką, brutalną, nawet mściwą, lecz nie była przez cały ciąg swej historii okrutną. Węgier nie ma natury lubieżnej. Ani w religii przodków jego, ani w pogańskim pojęciu bogów, w legendach i powieściach ludowych, w pieśniach, humorze i sztuce nie przebija się zmysłowość.

Do okrucieństwa bolszewickiego miesza się przeciwnie zmysłowość sadystycznych morderców. Nie jest to cechą słowiańską, ani turańską — przechodzi od trzeciego żywiołu, który się wmieszał do naszego losu.

Przychodzi mi niekiedy chęć przerwania tych notatek. Pocóż pisać jeszcze. Dni, tygodnie, miesiące... Droga jest dłuższą, niż sądziłam, ciężar coraz większy.

Częstokroć zdaje mi się, że niosę nietylko własny ciężar. Niewidzialne i bolesne więzy łączą mię z bólem ogółu.

Noszę w sobie cierpienie, a też może i nadzieje innych. Uciekam z wygnańcami, powstaję z powstańcami. Mam miejsce swoje w śmiertelnej celi skazańców, ich noc ostatnia jest i moją ostateczną nocą. Los kazał mi rozbić się na skale. Fale biją dokoła mnie, uderzają mię, lecz nie ciągną za sobą. Kazał mi być tą, która będzie wołała ku drugiemu brzegowi skargą tych, co już głosu nie mają.

Walczę i szukam słów, któreby mię wzmocniły. Mózg mój męczy się, krwawi, wysycha, opróżnia się i znowu się napełnia.

Jak długo będę musiała jeszcze pisać? Czasem spoglądam ukradkiem na innych. Czy cierpią tyle, co ja. I znowu biorę za pióro. Cierpię więcej, jestem powszechnym krzykiem rozpaczny.

12 lipca.

Zawrócili zwolna na rogu ulicy. Rozmawiali poważnie. Zatrzymywali się i dysputowali. Na głowach mieli czapki sowieckie i, pomimo gorąca, skórzane paltoty i czarne nagolenniki. Wówczas dopiero spostrzegłam u ich pasa gra-

naty ręczne. Byli to młodzieńcy o ponurych oczach, bydłłej fizjonomji, twarzach galerników. Ruchy ich były gwałtowne. Jeden z nich miał przesłiczny pierścień na włochatej ręce. Skąd go wziął? Zadrżałam. Od pewnego czasu, odkąd ententa żąda ewakuowania Ballasagyarmatu, przychodzą tu w znacznej liczbie. Wydane im miasto przysłuchuje się w nocy ze drżeniem, gdy uderzają po bruku buty z podkawkami. Śmieli się śmiechem wulgarnym, jak czkawka. Śledziłam za nimi spojrzeniem. Gdy podnosili nogi, widać było gwoździe na ich podszwach. Ileż twarzy zmiażdżyli tymi gwoździami?

Chłopczy Lenina!... Uwolnieni mordercy, zło-
czyńcy, gotowi na wszystko. Tymi to ludźmi
utrzymuje się dyktatura proletariatu. Oni zbierają zakładników. Bolszewizm czyni ich sędziami trybunałów rewolucyjnych. Sądzą i wieszają bezzwłocznie. Wszystko im wolno. Na czele ich stoi marynarz Czerny, przed wojną robotnik garbarski. Auto jego przebiega bez przerwy ulicami Budapesztu, opisywano mi je nieraz. Czerny nosi zawsze dużą, sportową czapkę, naciśniętą mocno na głowę, angielską kurtkę myśliwską i jedwabny, fularowy szalik.

Twarz ma wygoloną. Oczy jego mają hypnotyzujące spojrzenie dzikiego zwierza. Na palcach czerwonej ręki błyszczą liczne pierścienie, perfumuje się bardzo mocno. Przypomina służącego, przebranego w odzież pana. Rozprawia mało, z ofiarami swemi kończy szybko. Godzinami całemi zatrzymuje się przed „artystycznymi” freskami Parlamentu.

Sentymentalny, a okrutny, mruczy i rozdziera. Powiadają, że człowiek ten znał Karolyi'ego z czasów buntu marynarzy w Cattaro. Po buncie, schronił się do Budapesztu. Otrzymał pieniądze, a opiekunowie wysłali go w podróż naukową do Rosji bolszewickiej. W szkole agitatorów w Moskwie poznał się z Szamuellym. Po rewolucji październikowej, był już w Budapeszcie. Za czasów panowania Karolyi'ego propagował swobodnie bunt między marynarzami Budy. W noc 21 marca kierował rabunkiem. Odtąd stał się ten rozbójnik panem nocy stolicy.

13 lipca.

Gdy w mieście jakim zabraknie chleba, rząd rewolucyjny sowiecki przysyła natychmiast... mówcę propagatora. Przybył towarzysz Samuel Vas.

Spacerowicze niedzielni zatrzymali się przed ratuszem. Zebrano się nielicznie. Po wsiach nie słuchają już mówców z Budapesztu. Samuel Vas-Weiss ukazał się na balkonie ratusza. Stał pod czerwonym sztandarem. Na próżno jednak zapalał się, wygrażał. Audytoryum pozostało obojętne.

Jakiś robotnik zawołał:

— Dajcie nam chleba!

Mówca wpadł we wściekłość.

— Nie chodzi o to. Teraz chodzi o zachowanie dyktatury proletariatu. Nie ścierpimy kontrrewolucji.

— Chleb więc jest kontrrewolucją? — zawołał tamten.

— Nie przeszkadzajcie mi, towarzyszu. Zgnieciemy kontrrewolucję! Zniszczymy! Powiesimy wszystkich burżujów. Jeśli nie wystarczy szubienic w Węgrzech sowieckich, wybudujemy je. Tak, towarzysze, wzniesiemy je.

Robotnik zaklął. Ktoś zapalił cygaro. Słuchacze zaszemrali:

— Dosyć tego!

Vas wciąż mówił. Nikt już go nie słuchał. Ludzie gawędzili między sobą.

— Chce wytwarzać szubienice... hodować je w szkółce! kształtować! — ma więc program...

Rzeczywiście, po tylu zniszczeniach, określił mówca Beli Kuna jedyny program twórczy socjalizmu węgierskiego: będą tworzyli szubienice...

14 — 20 lipca.

Wzamian za wstrzymanie ofensywy przeciw Czechom, żąda Bela Kun w ostatniej swej nocie, zwróconej do Clemenceau ewakuacji terytorjum po tamtej stronie Tiszy. Odpowiedź nadeszła:

„Bela Kun, Budapeszt. W odpowiedzi na radio, zwrócone 11 lipca do prezydenta, zawiadamia kooperacja pokojowa, że nie może wchodzić w żadne układy, dopóki nie zaczniecie zachowywać traktatu zawieszenia broni”.

Przez chwilę wzrok mój popłynął gdzieś w dal w rozmarzeniu. Ileżby się oszczędziło ludzkości krwi, wstydu i cierpień, gdyby mocarstwa zwycięskie, zamiast przesyłania przez generała Sumsta propozycji bandzie zbrodnia-

rzy Beli Kuna, zamiast korespondować z nimi przez szereg miesięcy za pośrednictwem Clemenceau, robiąc im nadzieję zaproszenia rządu sowieckiego na konferencję pokojową, wysłały im zaraz w pierwszej chwili pismo w tym tonie:

...Teraz jest to wyraźne. Wielkie zwycięskie mocarstwa nie wdały się w rozmowę z Belą Kunem pod naciskiem własnego proletariatu, przymus ten bowiem trwałby jeszcze po dzień dzisiejszy, lecz tylko dlatego, że Bela Kun wyrzekł się nienaruszalności naszego terytorjum, o które nie dba.

Niepodobna już zmyć tę hańbę. Surowa nota przyszła zapóźno. Bela Kun odpowiada w sposób prowokujący i ironiczny. Zdaje się podawać w wątpliwość szczerłość Clemenceau i drwi z jego braku autorytetu w Królestwie Rumuńskim i republice czeskiej.

Znowu rozlepiono po murach domów rozkaz mobilizacji. Znow brzmi na ulicach nawołujący odgłos bębna. Ukazują się olbrzymie plakaty. Przedstawiono na nich marynarza, rzucającego się naprzód z otwartymi ustami. Głowę ma półmetrową, ręce blisko na 2 metry. W ręce, wzniesionej nad głową, trzyma szkarłatną chustę z napisem: „Do broni!“.

Gdy się tak rzuca marynarz na plakacie w małych, okaleczonych Węgrzech, pozbawionych dostępu do morza, wydrwiwa Bela Kun konferencję pokojową. Na zebraniu komisji „stu pięćdziesięciu“ wyciągnął jedną ręką sygnał alarmu, oznajmiającego o niebezpieczeństwie, grożącym dyktaturze.

„Proletariat na Węgrzech przechodzi kryzys”.

W chwilę zaś potem trąbi:

„Węgierska republika Sowieców przedstawia potęgę, jakiej Węgry nie znały nigdy... Dowodem tego jest ostatnia depesza Clemenceau”. Powiedział słówko w stronę każdego, lecz poprzez tę fanfaronadę zgadnąć można dzwonienie zębami. Bawarska republika Sowieców umarła, niemiecka republika Sowiecka w Austrii nie mogła się narodzić. Rosyjskie armje sowieckie nie dają pomocy.

Na Węgrzech, wielki wróg, krwawa kontrrewolucja jest wszędzie: na ostrzach kos, toczonych o kamień, w wymownej pustce biur rekrutacji, na pustych stołach biur oficjalnych. W gęście chowania niebieskich pieniędzy i odrzucania białych, w każdym uderzeniu wiosła, przecinającym wody Tiszy pod Sugedem.

Dyktatura trzyma się kurczowo. Uczepiła się, niby ostatniej deski ratunku, nadziei na rewolucję wszechświatową, będącą podstawą polityki jej od początku.

Rząd Sowiecki odwołuje się do proletariatu świata. Namawia ich do ogłoszenia rewolucji 20 — 21 lipca, organizując strejk generalny na znak solidarności z republikami Sowieców Rosji i Węgier.

21 lipca.

Nazywają rewolucję początkiem, młodością, zaraniem. Rewolucja nie jest jednak jutrzeńką. Jest ona tylko chaosem stawania się. Nie jest pierwszą godziną nowej epoki, lecz ostatnią

widmową godziną dawnej epoki o wykrzywionem obliczu czasu.

Nie zaranie to, lecz agonja północy, epoka umierająca, w której przyszłość ukazuje się tylko niby we mgle poprzez krew i strach śmierci.

Dawna epoka umiera w rewolucji. I dopóki się nie kończy zmierzch niejasny i nie wejdzie dzień, staje się człowiek nanowo dziecięciem. Autokratyczna siła bierze go za rękę, odprowadzając go ku porządkowi, praworządności, kościołowi i jutrzni przed obliczem Boga.

Potem następuje młodość epoki. Pora marzycielskiego idealizmu, wojen o wolność, sztuk pięknych. Epoka ta wytwarza kwiaty, orze i zbiera, śpiewa i raduje się miłością. Następnie nadchodzą jej dojrzałe lata. Tworzy przemysł, handel, siada na statki, podnosi koticę, przenosi przez morza dalekie skarby. Skarby wzrastają, nadmiar skupia się w złocie, zgromadzonym w rękach niektórych ludzi, tworzy stosy nad nędzą milionów.

Nad bladym i złym światem zapada mrok. Zapach zwiędłych kwiatów, hulanki duszące, puhary, wypróżniane po brzegi, dzikie orgje, stare twarze, uszminkowane dla odmładzania się, śmiechy i sarkazm.

Dzwony kościelne wydzwaniają tylko godziny, prawo ustanawia się tylko dla naiwnych, tradycje stają się bajaniem piastunek. Zepsuty rozum degeneratów, zblazowanych, złoczyńców i szaleńców panuje nad zmęczonymi impotentami. Szacunek ginie, ręka pracująca zatrzymuje się: północ się zbliża. Straszna agonja epoki. Krew spływa po ziemi, ogień wznosi się

ku niebu, epoka ginie we krwi i ogniu... Rewolucja nie jest jutrzenką. Rewolucja jest straszną agonją północy, my zaś, biedni Madjarowie, konamy w śmierci, którą wywołano.

Tak się kończy epoka, widzę jednak to, co jest poza cierpieniem, przeczuwam powstawanie nowej zorzy.

XVI.

23 lipca.

Ktoś z nas wyciągnął rękę po dzienniki. Na papierze, koloru błota, te słowa: „Skazanie na śmierć...” Zwycięzcy wręczyli w Saint-Germain traktat pokojowy pozostałościom po Austrii. Przez wieki całe mewaliśmy zatargi z cesarską Austrią. Była ona nieraz przyczyną naszego nieszczęścia, a jednak, niema na świecie narodu, którego by los jej obchodził bardziej, niż nas. Walczyliśmy razem i razem byliśmy zwyciężeni na polach walki...

Pali się jedna świeca. Słaby przeciąg porusza płomień, który się pochyła i blaskiem nie sięga do sufitu. Ponure sklepienie nad nami ogarnia mrok. Siedzimy, niby rozbitki, w głębi pieczary. Spojrzenia nasze koncentrują się w jednym punkcie, każda twarz jest odbiciem innej. Jedyнным żywym przedmiotem w świetle świecy jest mapa, rozłożona na stole.

Mapa Węgier — tej tysiącoletniej jednostki, będącej dziełem nie ludzi, lecz przyrody. Czemu nigdy wierzyć nie chciałam, co mi się zdawało być tylko groźbą rządu bolszewickiego: ta linja graniczna Węgier, taka, jak ją ustano-

wił Clemenceau, wypływała już z traktatu pokojowego z Austrią, niby widmo zemsty.

W imieniu ludów i narodów, przygotowuje się konferencja pokojowa do spełnienia zbrodni najczarniejszej w dziejach.

Nagle, podobne olbrzymim widmom ginącym we mgle, przesunęły się przede mną okute w łańcuchy granitowe ściany Karpat, dalej Deryny i szczyt Czenk, te dwie dawne strażnice naszego podboju, za nimi tajemnicze trzciny jeziora Fertö, morze pod górami Karstu, nasza rzeka Dunaj, wolna w kraju rządzonym przez obcych, przebywająca Wrota Żelazne, jeszcze dalej u stóp gór śnieżnych Siedmiogród i Marmaros ujarzmione, potem jeszcze nasze lasy, wody, ziemie w niewoli, te nawet, których nie widziałam nigdy, jednak kocham, wszystkie w kajdanach, na łasce strażników obcej rasy... Nie należało do mnie ani piędzi ziem tych, jednak wszystkie były mojemu. Zabierają mi je, tak jak je zabierają wszystkim, co są Madjarami. Gorący wiew szału przepływa mi przez mózg. Po papierze przesuwają się czerwony ołówek. Ujrzałam go znowu wyraźnie. Aladar Huszar zakreślił na mapie decyzję paryskiej konferencji pokojowej, jest to niby ostrze zagłębiające się w żywe ciało z ponurym zgrzytem, znacząc się śladem krwi. Starożytna granica pozostaje nazewnątrz tej linii, tracimy ją wszędzie, wewnątrz zaś otwiera się rana.

Chciałoby się krzyczeć. Zaciskamy ręką usta, czując nóż przenikający ciało. Linja czerwona posuwa się naprzód, chwieje się i cofa przerażona: zatrzymuje się, idzie znów dalej po tej stronie starożytnych miast madjarskich, roz-

cinając na połowę okolice czysto węgierskie, kreśląc okropnego potwora, nędzny szczątek okaleczony: Węgry traktatu pokojowego.

Kto się nie pochylał nad mapą ojczyzny, kto podług rozkazu i życzenia obcych zaborców nie kreślił na niej z zażawionem okiem granic nowych wewnątrz jej granic starożytnych, ten nie potrafi zrozumieć naszej męki, ten nie wie, co to pragnienie zemsty, uczucie buntu, nie zna ani nienawiści, ani miłości ojczyzny.

— Odbierzemy je!...

Kto z nas to powiedział? Mniejsza. Nie jest to głos jednego człowieka. To głos całego narodu. Pomimo naszej nędzy i poniżenia zostało nam dosyć energii, by to wypowiedzieć. Gorycz i zaciekłość tej myśli odczuliśmy tak silnie, żeśmy zadrżeli w sobie.

Odbierzemy!...

1 sierpnia.

Członkowie Sowietu Balassagyarmatu nie mogą już ukryć swego zdenerwowania. „Towarzystwo” opanowują sklepy, kupują byle co, byle towar i aby się uwolnić od swych białych banknotów drukowanych przez Sowiety. Lecz próżno grożą, kupcy nic im nie sprzedają. Wystawy są puste. Jedyne w sklepie propagandowym komisariatu oświecenia publicznego wystawiono broszury, portrety komisarzy ludowych, gwiazdy czerwone, godła czerwonych ludzi, gipsowe figurki Lenina, Marksa... Nikt ich nie żąda. Miasto znieruchomiało, jakby odrętwiałe w oczekiwaniu. A jednak z Budapesztu przychodzą wciąż rozkazy telegraficzne.

„Wszystkie Sowiety mają zostać na miejscu: nie wolno nikomu uciekać”...

Pewnego razu pod oknem zatrzymały się jakieś kroki. Usłyszałam nerwowe, gardłowe głosy.

— „Ableiten“, mówił głos semicki, „trzeba kanalizować“... Zadzwoniono do bramy. To wizyta wice-żupana... Z Budapesztu nadeszła depesza zwiastująca upadek rządu Beli Kuna.

— Jest to wiadomość pewna, — rzekł podprefekt. Konstytuuje się rząd czysto socjalistyczny.

Rząd czysto socjalistyczny!... Tegośmy nie oczekiwali. Wiedzieliśmy, że przedstawiciele Ententy w Wiedniu nie weszli w układy z komitetem wiedeńskim hrabiego Stefana Bethlena, ani z rządem Sugeda, ani z Węgry, układali się zaś od dni kilku z Wilhelmem Böhmem, Zygmuntem Kunfi i, człowiekiem Karolyi'ego, Ernestem Garami.

Wyraz „ableiten“ „trzeba kanalizować“ przyszedł mi na myśl. Przedstawiciele żydostwa już wystąpili. Wczorajsi czerwoni, kaci zabarwiają się znowu na socjalizm umiarkowany i przygotowują się do przełożenia władzy z jednej ręki w drugą, dla osłonięcia się w ten sposób przed gniewem ludu torturowanego i zranionego do krwi.

Od strony korpusu straży słyszeć się dały krzyki.

— Kto powiedział? Nie ścierpimy tego!

I straż, teroryści, rzucają się ku urzędowi pocztowemu.

— Jeżeli to powiedział naczelnik poczty, zaaresztujemy go! Naczelnik poczty zamiast odpowiedzi zwrócił się telefonicznie do Budapesztu. Jeden z terorystów trzymał słuchaw-

kę... Pytanie poleciało ku stolicy. Nadeszła odpowiedź: „Rząd podał się do dymisji, system Sowietów się skończył, Budapeszt pogrążony w upojeniu radości“. Teroryści stali skamieniałymi i nie aresztowali naczelnika poczty. Udali się do miejscowego Sowietu, by się dowiedzieć, co czynić. Lecz biura czerwone w Ratuszu były puste. Towarzysze znikli. Kilku z nich nagle zasłało. Wieść rozeszła się wkrótce po ciemnych ulicach, ogarnęła całe miasto. Pukała do okien, wciskała się przez drzwi. „Pokój na ziemi ludziom dobrej woli“... Dom stał się zbyt ciasnym, ogród również. Ktoś grał w sąsiednim domu na skrzypcach, płakały one razem z fortepianem. I oto nagle, prawie nieświadomie, przez samą chęć śpiewania wytrysnęła z piersi naszych wielka, skazana na śmierć, modlitwa węgierska. Wstaliśmy wszyscy. Hymn narodowy wznosił się w tę letnią noc wciąż wyżej aż ku gwiazdom.

Wdole w ciemnościach, po przeciwnej stronie ulicy przemykały się milczące ciemne postacie. W świetle padającym z otwartych okien widzieliśmy stojących sąsiadów. Modlili się również.

Wiele dni minęło od czasu upadku morderców kraju, a sprawiedliwości nie stało się zażość.

Powiadają, że Michał Karolyi i Bela Kun wydani zostali przez Czechów i Austriaków i byli obaj powieszani. Pomiędzy Tiszą, a Dunajem zatrzymywali chłopci uciekających komunistów, dokonywując nad nimi sądu ludowego. Kazano im zjadać plakaty zrywane z mu-

rów, zostali zamordowani przez tych, którym pozabijali rodziców lub dzieci.

Tyburcjusz Szamuelly popełnił samobójstwo. On pierwszy próbował ucieczki. Jeszcze się rząd sowiecki nie był podał do dymisji, gdy on się rzucił ku polu awiacji. Chciał się przedostać do Rosji, lecz żaden pilot nie zgadzał się na odbycie podróży. Wówczas Szamuelly z kilku młodymi katami udał się w stronę Austrii na drezynie. Złapano go w okolicach Sarduynku, tu korzystając z chwili, gdy go nie pilnowano, zastrzelił się.

— Szkoda, — rzekł jeden z włościan, — trzeba go było powiesić na szubienicy.

— Należały mu się tortury, nie kule.

W ten sposób przeklinali ludzie w ponurym gniewie złoczyńcę, który uniknął sądu ludu w objęciach śmierci.

Co za rozpacz miesza się z nowem szczęściem w miarę jak się dowiadujemy nazwisk ofiar, ofiar niezliczonych! W czasie swych ostatnich podrygów, wyciągnął terror rękę ku Oskarowi Fery i jego wiernym towarzyszom Menkinowi i Burky. Zginęli. Oskar Fery, twórca bohaterkiej żandarmerji węgierskiej był duszą kontrrewolucji. Mężny żołnierz, pomimo stopnia generalskiego pozostał w Budapeszcie za panowania komunistów, żeby być w gotowości stanąć na czele żandarmerji, gdy go ojczyzna zapotrzebuje. Dyktatorzy obawiali się go, lecz on nie uciekał i oto przed kilku dniami zaaresztowano go we własnem mieszkaniu. Terrorysty osadzili jego wraz z dwoma wiernymi oficerami w koszarach przy ulicy Mordony. Gdy upadek dyktatury stał się pewnością, za-

mordowano więźniów w piwnicy koszarowej jednego za drugim. Oskar Fery umarł ostatni. Idąc na kaźń, trzeba było deptać okaleczone nagie trupy przyjaciół leżące na schodach.

7 sierpnia.

Do Budapesztu nie dochodzą jeszcze pociągi. Miasto otoczone jest kordonem. Nikt zeń wyjechać nie może. Nie dochodzą podróźni ani wieści.

Robotniczy rząd socjalistyczny Peilda, następcy Beli Kuna, zniósł wszystkie rozporządzenia dyktatury. Nie przychodzą już rozkazy. Można było częściowo tylko rozbroić czerwone bataljony napływające z frontu Tiszy.

Żołnierze rozproszyli się, ludzie, stawszy się dzikimi zwierzętami, kradną i rabują wszędzie.

Wczoraj wieczorem rozeszła się wieść.

W stolicy miał się utworzyć rząd opozycyjny. Czy to prawda, czy, jak tylokrotnie, pragnienia nasze upiększają rzeczywistość.

— Niech pani napisze artykuł na pamiątkę Balassagyarmatu, — rzekł mi Aladar Huszar. Dawny dziennik patriotyczny. „Dziennik Nagradzki” przemianowany przez krwawą dyktaturę na „Głos ludu Nagradzkiego” ukazał się znowu.

Od tylu miesięcy piszę tylko dla siebie. Myśl jawności wzrusza mię, jakby ktoś patrzył mi przez ramię.

„Zmartwychwstanie” był tytuł artykułu, który podpisałam własnem nazwiskiem. Po raz pierwszy od marca wracałam do własnej oso-

bistości. Imię Elżbiety Foldwary, towarzyszące mi w mej podróży w dni smutku, broniące mię, jak wierny przyjaciel, rozstawało się ze mną. Zwrócę je właścicielce, może przebaczy mi, że je nosiłam. Zwracałam je z przykrością. Kokon roli, którą odegrałam przez szereg miesięcy splótł się z moją duszą. Musiałam szukać powrotu do własnego ja. Dwie osobowości stykały się we mnie, moja własna, której obowiązkiem walka i praca do końca życia, i druga biedna, zmęczona, odludek, która chciałaby przejść niedostrzeżona, oceniając wartość półcienia i spokojną szarość nieodpowiedzialności.

Ogarnął mnie nagły strach. Czy nie wystarczy tego, co zostawiło we mnie życie na wszystko, czego ono wymaga ode mnie jeszcze?

Drzwi się otwarły, jakby pchnięte wichrem.

— Niech pani przychodzi, prędejj! — wołał Aladar Huszar, trzymając w rękę kartkę papieru. Wielka nowina!... wiadomość!

— Co... Skąd?...

Zaczął czytać ze wzruszeniem.

„Do narodu węgierskiego. Dumny z niezmiennego przywiązania, łączącego mię z narodem węgierskim, pamiętając o wspólnych cierpieniach lat ubiegłych, posłuszny jestem życzeniu wyrażonemu ze wszystkich stron i obejmuję władzę”...

Nie potrzebowaliśmy pytać o nic więcej... znaleźmy tego, co cierpiał pięć lat wspólnie z nami, kochając naród węgierski miłością niezmienną, opuszczony przez wszystkich arcyksiężę Jozef...

Łzy płynęły mi po twarzy, nie obcierałam

ich, pozwalałam im płynąć, by zmyły ślady tyłu mąk.

Utworzył się rząd, wszyscy jego członkowie są Węgry nie zaś obcymi; Stefan Friedrich jest prezydentem. Niegdyś otumaniał był Michał Karolyi Stefana Friedricha, który wziął udział w rewolucji październikowej, lecz przez całą zimę był on w kontakcie z kontrrewolucją. Jeśli ciążyła na nim odpowiedzialność za wypadki październikowe, był on w każdym razie jedynym, który błąd swój uznał i naprawił go.

Po epoce najsmutniejszej i najbardziej upokarzającej dla Węgier zapisał Friedrich swe imię na pierwszej karcie prawdziwie czystej.

Słońce świeciło, wywieszono na dachu prefektury wygnany sztandar, sztandar czerwono-biało-zielony. Całe miasto płakało z radości.

XVII. Powrót do domowego ogniska.

8 sierpnia.

Nadszedł dzień! Prysło straszne zakłęcie. Węgry ujęły los swój we własne dłonie. Dzisiaj zobaczę moją matkę. Życie wraca na drogę, z której je gwałtownie zepchnięto przed kilku miesiącami. Przeszłość odchodzi. Otwiera się wyłom w murze. Dzisiaj odchodzi pierwszy pociąg do stolicy, żegnam dom, który mi dał przytułek. Żegnam ludzi, dzieci, mój kącik pod oknem, cieniście obramowanie ogrodu, wszystkich co byli dla mnie do brzy w cierpieniu, których nie zapomnę nigdy...

Już pozostała za mną stacja Balassagyarmatu. Znikły ostatnie domki, za niemi wody Ipoly,

topole nadbrzeżne, łańcuch Tatr ginący w blasku słońca. Obrazy tylekroć widziane, światła zapalające się i gasnące.

Przyjaciele moi chcieli mię odwiedzić, Ipoly też przeprowadza mię czas jakiś, jak srebrna wstęga wśród łąk zielonych. Potem idą ziemie wysuszone, miejscowości spalone, smutne. Na łąkach kukurydzy zwiędłe łodygi szeleszcząc sucho wzdłuż pociągu. Wszędzie słysząc, ten głuchy i suchy szmer zgaszonego pożaru. Słysząc go dziś po całych Węgrzech spalonych także...

Ktoś w przedziale mówi. Na dzisiaj to właśnie nazaczył był Szamuely rzeź burżuazji mającą się rozpocząć w Budapeszcie, w Wermezo i iść aż do końca kraju. Lenin i Trocki żądali surowszej dyktatury...

...Słońce przestało świecić. Żar rozlany po ziemi przygniatał zżęte pola. Degely pozostało za nami. Weszli nowi podróżni. Przybywali ze stron zajętych przez Czechów. Jak ciężkie tam było życie! Weszła do wagonu młoda kobieta z Siedmiogrodu, która przez sześć miesięcy nie mogła wrócić do domu... Zewsząd słysząc było gorzkie skargi, słowa głębokiego przygnębienia, jakby oderwane od ojczyzny wzdychały głosem ludzi cierpiących, teraz, gdy przynajmniej można było wzdychać.

Droga skręciła. Od strony twierdzy Nagradu szła burza wywołana przez spiekotę. W parę chwil niebo ściemniało. Pociąg zagłębiał się w wicherę, wreszcie musiał stanąć. Ciężkie wozy drżały. Wiatr zginał ku ziemi korony drzew, chmury leciały w strasznym kurzu. Podobna burza poprzedziła wojnę światową...

Burza przeszła w stronę zachodu, wieża i kopuły nieszczęsnego Budapesztu zabłyśły w słońcu ponad górą i doliną.

Na dworcu pożegnałam się z przyjaciółmi. Powóz ruszył. Spoglądałam jeszcze za siebie... myśląc, że wdzięczność całego życia należąca się niektórym ludziom może być lekka i słodka.

Wtem uczułam się samotną. Wszędzie nad domami powiewały chorągwie. Dziwne chorągwie! oddając, wycięto połowę, albowiem Terror palił chorągwie węgierskie.

Na murach rozlepione były rozkazy generałów rumuńskich, którzy przez parę dni zajmowali miasto po upadku dyktatury komunistycznej. Tramwaje o wytłuczonych szybach toczyły się po szynach jak błędne ruiny. Sklepy były jeszcze pozamykane. Z poza żelaznych zasłon widać było przez szpary kilka biednych pustych witryn. Na zakurzonych szybach resztki zerwanych plakatów. Po rozboju komunistycznym życie nie wróciło jeszcze do miasta ograbionego i biednego jak żebrak.

Patrol rumuński w hełmach połowych na głowach przeszedł z podniesionymi bagnietami przez ulicę.

Krew uderzyła mi do twarzy.

Chorągwie na moście Małgorzaty igrały z wiatrem od Dunaju, lecz nie dostrzegałam już ich powiewu. Na górze, pałac królewski uwieńczony koroną świętego Stefana wznosił się smutny, na przeciwległym brzegu Parlament świecił zczerniałymi kamieniami.

Rok temu pałac Parlamentu miał wygląd nowego. Jak się on prędko zestarzał, jak tragicznym stał się ze swemi krwawymi lochami,

z murami podziurawionemi od kul, placem, z którego bandyci patrzyli na egzekucje, schodami wiodącemi do Dunaju! Tutaj to spuszcza-
no w rzekę trupy ofiar. Po stronie Budy most
i domy były popstrzone, widać jeszcze było na
parkanach przedmieść resztki odez w czerw-
nych.

Nareszcie ukazały się wyżyny Huvosvolgy.
Przebyłam ogołoconą z drzew górę. Nikt nie
czekał na mnie. Nie wiedziano w domu, że
przyjeżdżam, uśmiechałam się do siebie idąc.
Wysoki nasz dom o podwójnym dachu z da-
chówek odcinał się na lazurze nieba. Drzwi by-
ły naścieżaj otwarte. Żwir zaskrzypiał mi pod
nogami. Wchodziłam do domu.

Białe ściany, dębowe schody, kwiaty na sto-
le mej matki... Stałam wzruszona. Dały się
słyszeć kroki. Zdawało się, że osoba idąca po-
włóczy lekko nogami.

Błogosławione kroki, drogie kroki! Wybie-
głam na ich spotkanie. Matka stała we framu-
dze drzwi. Uczułam, że blednę na jej widok.

Niestety, była już tylko gasnącym płomie-
niem... duszą przygotowującą się do odlotu.

Ach, gdybym ją mogła zatrzymać, zacho-
wać! Oto otwierają się ramiona! Ta, co zawsze
była wyższą ode mnie, wydaje mi się małą i ni-
kłą na mem sercu!

Zatrzymam ją, zachowam ją na świecie!

Tu, w tych ramionach skończyła się moja
tułaczka, wróciłam wreszcie do domu!



KONIEC.

128

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 18472

1-2

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

T. 1



1000173146

T. 2



1000173132